Nr. 35. Lwów, Niedziela dnia 29. Sierpnia 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXXV.

DWIE SZKOŁY FACHOWE.

W systemie wychowania narodowego bardzo ważną odgrywają rolę szkoły fachowe, których przeznaczeniem wychować młodzież do pewnych szczegółowych zawodów gospodarczych. Znakomity rozwój umiejętności, szczególniej przyrodniczych, zetknięcie ich bezpośrednie z życiem w zawodzie rolniczym, przemysłowym i handlowym — uczyniły zakładanie szkół takich niezbędnem. Odkąd rolnictwo przestało być tylko praktyką z ojca na syna niezmiennie przekazywaną, lecz stało się umiejętnem wyzyskaniem rezultatów chemji tudzież fizjologji roślin i zwierząt, a używa zarazem mechaniki do swych celów — kraj pragnący czynić postępy w rolnictwie, i dorównać pod tym względem innym narodom, musi sobie rolników wychowywać w szkołach, które uczniów z naukami temi i zastosowaniem ich obznajamiają. Odkąd przemysł przestał polegać na samej zręczności, a w pomoc mu przychodzi nauka chemji, mechaniki i t. p. — szczególniej zaś odkąd przemysł warstatowy wszędzie przechodzić poczyna w fabryczny — fachowe szkoły przemysłowe, w których prócz udzielania powyższych nauk kształci się gust rzemieślnika przez naukę rysunków, są niezbędnym warunkiem przemysłowego rozwoju danego kraju. Wreszcie coraz bardziej doskonalące się środki komunikacyjne, coraz szersze zakresy zakupna obcych a sprzedaży własnych towarów, konieczne ztąd stosunki z rozmaitemi krajami, których praktyki handlowe znać trzeba, uczyniły z handlu zawód, do którego także prócz praktyki samej, potrzeba koniecznie nabycia pewnych wiadomości przez teoretyczną naukę. Ztąd nieodzowna dzisiaj potrzeba szkół handlowych.

W całej Europie szkoły fachowe rozwijają się na coraz większą skalę, a znakomity rozwój rolnictwa i przemysłu tudzież wyższe wykształcenie i udoskonalenie handlu zawdzięcza się przeważnie tym szkołom. U nas niestety sprawa ta jest zbyt zaniedbaną — szkół fachowych mamy bardzo mało. Potrzebom rolnictwa mają czynić zadość szkoły dublańska i czernichowska; dla przemysłu i handlu jednak bardzo mało pod tym względem uczyniono. Akademja techniczna we Lwowie, będąca obecnie w stadjum reorganizacji, będzie instytucją umiejętną w całem tego słowa znaczeniu, i kształcić ma do wyższych zawodów technicznych. Szkoła przemysłowa lwowska ma uczynić zadość potrzebom warstatowego przemysłu. W ostatnich dwóch latach, po dokonanej reorganizacji, poczyna się ona coraz pomyślniej rozwijać, i przełamuje zwolna wstręt, jaki do niej panował w starem pokoleniu cechowych jeszcze rzemieślników, którym się to w głowie pomieścić nie mogło, żeby uczeń i robotnik miał się uczyć w skole, a skutkiem tego umieć więcej od pana majstra. Ale jedna szkoła przemysłowa na cały kraj, to nieco za mało. Przy najlepszym nawet jej rozwoju, skutki pomyślne w samym tylko Lwowie się objawiają.

Dla tego też z najżywszą radością powzięliśmy wiadomość o mającem nastąpić przekształceniu krakowskiego instytutu technicznego na wyższą szkołę przemysłową. Będą może tacy, którzy w zmianie tej dopatrzą pewnego rodzaju degradację tego zakładu, wnosząc z tego, że zwał on się dotąd instytutem technicznym, a na przyszłość zwać się będzie szkołą przemysłową. Ale nie o nazwę tu chodzi, lecz o rzecz samą. Dwóch akademij technicznych nie możnaby dla kraju, naszego utrzymywać, ani ze względów finansowych, ani też ze względu na siły naukowe. Bo jeżeli to ma być akademja w całem umiejętnem tego słowa znaczeniu, to skupić ona winna najlepsze, odznaczające się siły naukowe całego kraju a tych na dwie akademje możeby i nie starczyło. Koniecznie przeto jeden z tych zakładów chromać by musiał. Że zaś Lwów, jako punkt środkowy, najbardziej się do tego nadaje, by był siedzibą technicznej akademji — przeto instytut krakowski musiał już ustąpić mu pierwszeństwa. Otóż zamiast utrzymać w Krakowie jakiś połowiczny zakład, któryby nie mógł być akademją w całem tego słowa znaczeniu, a był niby czemś wyższem od szkoły — lepiej nadać mu praktyczne przeznaczenie, i zrobić z niego szkołę przemysłową wyższą, t. j. taką, którаby kształciła dobrych przewodników warstatów, kierowników mniejszych fabryk i t. p. Ten też cel zamierzono osiągnąć reorganizacją, która ma teraz nastąpić — a podział szkoły na oddziały: budowniczy (murarstwo, kamieniarstwo, ciesielka, stolarstwo i t. p.) — mechaniczny (ślusarstwo, fabrykacja maszyn i narzędzi) i chemiczny (garbarstwo, gorzelnictwo, browarnictwo, farbiarstwo i t. p.) odpowiada zupełnie temu celowi.

Ale — bo nie ma w świecie a szczególniej w Galicji nic bez ale — równocześnie z tą miłą dochodzi nas wiadomość druga, bardzo niemiła o zwinięciu oddziału handlowego przy akademji technichnej we Lwowie. Ta szkoła handlowa najniewłaściwiej była przyczepioną do akademji, to prawda, i zdawało się też że będzie od niej oddzielona i jako osobny zakład utrzymywana, a to tem bardziej, że w ostatnich latach gremium nauczycieli zostało uzupełnione i zasilone bardzo dobrymi nauczycielami, tak że można było szkole tej dać byt samoistny. Mimo że po dokonanej częściowej reorganizacji szkoła bardzo się dobrze rozwijała, postanowiono we Wiedniu zwinąć ją dla braku funduszów, które mają być użyte na utworzenie przy technice osobnego oddziału budowy maszyn. O tym braku funduszów wiele by się dało powiedzieć — a ostatecznie streszcza się to w tem jednem, że ciężary coraz się wzmagają, a korzyści bardzo mało i powoli się zwiększają....

Szkoła handlowa jest niezbędną. Geografja i statystyka handlowa, nauka gospodarstwa społecznego, prawa handlowego i wekslowego, języków obcych, szczególniej francuskiego i angielskiego, korespondencji i stylu, rachunkowości podwójnej, a nawet i towaroznawstwa, to wszystko są wiadomości, których nie da sama praktyka kupiecka, których także nie nabędzie w szkole realnej, zwykłym naszych kupców zakładzie przygotowawczym, a które są kupcowi niezbędne. Trzeba na to koniecznie osobnej szkoły. Kupiec zaś, który szkoły takiej nie przebył a ma za sobą tylko praktykę — nie będzie kupcem ale prostym

handlarzem, którego cała umiejętność polegać będzie na drogiej sprzedaży. Traci na tem i publiczność cała i stan kupiecki. Traci kraj w innym jeszcze względzie. Młodzież pragnąca się w tym zawodzie kształcić, albo szukać będzie zakładów zagranicznych, zkąd powróci zcudzoziemczała, obcemi przesiąknięta wyobrażeniami i stosunków kraju nieznająca, albo też w prywatnych zakładach uczyć się będzie spekulacyjki, ale nie handlu.

Utrzymanie szkoły tej jest przeto żywotnym interesem kraju. Skoro rząd całego wydatku ponieść nie chce czy nie może — należy kołatać i dopominać się, aby choć część jego ponosił, jak się to dzieje w innych krajach, na resztę zaś złożyć się powinne w pierwszej linji stan kupiecki, reprezentowany w izbie handlowej, a dalej kraj i miasto.

Współzawodnictwo innych krajów z nami na polu rolnictwa, przemysłu i handlu odbywa się nie samemi tylko kapitałami — ale przedewszystkiem i w największej części nauką — fachowem wykształceniem. Starajmy się w tem im wyrównać, podnieśmy u nas fachowe wykształcenie, a zdobędziemy przez to siłę do wytrzymania tego współzawodnictwa i wyrobimy z czasem światły stan średni, który jest wszędzie najdzielniejszą dźwignią postępu i rozwoju.

TRUCIZNA.

Powieść

PAULINY z L. WILKOŃSKIEJ.

(Dokończenie).

IX.

Klara siedziała jakby zkamieniała: blada z zaciśniętemi dłońmi. Widziała oczyma duszy drzwi wyłamane, Klementynę na wpół nieżywą... Wstyd! sromotę — hańbę!... Boleść i rozpacz Stanisława!... A mała Ińcia, mój Boże! zadrżała w głębi duszy — gdy nagle w myśli... nasunął się Albert... Wyrazy jego, spojrzenia — jej własna zalotność... A listy? Nieszczęsne listy, które napisała do niego! Poczuła raz pierwszy na jak śliskiej była drodze... — Przejrzała — i straszny, pełen trwogi przeszył ją wyrzut. Co począć? co począć?... Wyspowiadać Lucjanowi wszystko... Popatrzyła na męża—i żal głęboki, dotkliwy ścisnął jej serce; Lucjan tak ją kochał, tak w nią wierzył!.. Płakać nie mogła. Ale łzy gorzkie, łzy brzemienne ciężarem wyrzutów ściekły do głębi duszy!... Niby ruszyć się nie mogła z miejsca. Lucjan siedział nieruchomy. Wszedł Paweł szybko.

— A co tam? — Lucjan podniósł głowę.

— Pan Wincenty Krężelski kazał prosić, ażeby jaśnie pan zaraz pofatygował się do hotelu...

— Powiedz, że idę! — Zerwał się Lucjan, potarł czoło chustką, przystąpił do Klary i objął ją czule: — Jesteś przerażoną, biedaczko—wymówił cicho.—Uspokój się! — pocałował ją w czoło. — Iść muszę, skoro mnie wzywają, a żal mi ciebie samą zostawić. Ale muszę! Pewnie przyjdzie Złotowiecki to cię rozerwie.

— Nie przyjmę... nie przyjmę nikogo!— wyrwało się z jej piersi. — Nie chcę widzieć się z nikim! Nie mogę...

— Uspokój się, aniołku! — przycisnął ją do piersi. — Jak tylko będę mógł, wrócę. Zostań z Bogiem! — i wyszedł.

Klara zadzwoniła na Pawła.

— Ktokolwiek przyjdzie, powiedz, że słaba jestem i nie mogę przyjąć nikogo.

Przebiegła pokój, jakby w szale. Po chwili posłyszała drzwi skrzypnięcie i głos Alberta... Drzwi znowu zamknęły się za nim; Klara stała na środku pokoju. Wszystko ucichło. Przystąpiła do okna, otworzyła je i przez chwilę mroźnego zaczerpnęła powietrza.

Było już po dziewiątej, gdy Paweł wszedł do pokoju i list jej oddał.

— Od kogo? — porwała się trwożnie.

— Od jaśnie pana z hotelu — odrzekł i wyszedł.

Klara drżącą ręką rozłamała pieczątkę. Lucjan pisał:

„Najdroższy mój aniołku! Stanisław ciężko zaniemógł i miał atak apoplektyczny. Przywołany lekarz krew puścił. Zostanę tu przez noc. Wybaczysz przez wzgląd na nieszczęśliwego! Spij spokojnie, moje ty szczęście całe!

Lucjan.“

Klara rzuciła się na kanapę i żałośnym wybuchnęła płaczem.

Po chwili przystąpiła do sekretarzyka, wyjęła ze skrytki dwa listy Złotowieckiego i położyła je na tece. Uklękła, złożyła dłonie, a z piersi jej gorąca popłynęła modlitwa.

X.

Rychło wstała nazajutrz, bo sen ją odbiegł. Lucjana nie było jeszcze — i zaniepokojona posłała Pawła po wiadomość do hotelu. Niezadługo powrócił z odpowiedzią, że pan nadejdzie zaraz. Nie upłynęło też półgodziny i Lucjan wszedł do pokoju.

— Dzień dobry, Klareczko — rzekł całując ją w rękę. — Byłaś niespokojną. Przepraszam cię! Już teraz nie wyjdę. Siadajmy! — rzucił się na kanapę i posadził żonę przy sobie.

— I cóż pan Stanisław? — zapytała.

— Lepiej mu. Ale wczoraj było bardzo źle; lękaliśmy się drugiego ataku. Okropna to historja! Stanisław, jak wiesz, został przez anonyma powiadomiony, i dołączono list, który Klementyna do swojego napisała adonisa...

— List? — Klarze tchu zabrakło.

— List wyświecający ich stosunek jak najwyraźniej. Piszący dodał, że listów takich Sieradzki posiada nie mało. Zdaje się że to sprawka Zerowicza, który tym sposobem zemścił się na Stanisławie, Sieradzkim i Klementynie; wdziera on się wszędzie i wie wszystko. Stanisław traktuje go z góry, bo nim pogardza, więc i nienawidzi go. Bawił dni kilka u Sieradzkiego, dopatrzył się pewno historji całej i nieoględnemu list zabrał. Potem Julian chciał go się pozbyć bo mu zawadzał, okazał to nawet zbyt jawnie i obraźliwie. Klementyna była dla niego impertynentną, gdy tutaj do niej przyszedł z wizytą... i Sieradzkiego zastał, — zatem pomścił się na wszystkich.

— Podle! nikczemnie!

— Zapewne! Alеż on oskarżył o występek prawdziwy... Nie uczynił tego jednak przez wstręt dla występku, bo takiego nie ma poczucia, i raczej byłby może kawalerowi i jejmości w ich intrydze dopomagał, gdyby z nim w przyjaznej pozostawali komitywie. Inaczej wyszedł na potajemnego denuncjanta. Znać tak losy zrządziły! Nikczemnik był ich narzędziem. Nemezys nie okazała się leniwą!

— Boże mój! — Klara splotła dłonie— jakżeż wszystko niebezpiecznem stać się może„. Lucku! — przytuliła się do niego, tchu jej nie stało — nie mówiłam ci o tem, jako o rzeczy nic nie znaczącej... ale mam dwa bilety od Złotowieckiego, na które kilka słów odpowiedziałam...

— Ty z nim w korespondencji? — Lucjan poczerwieniał i usunął się od żony.

— Pokażę ci zaraz — poskoczyła do sekretarzyka i listy przyniosła.

Lucjan przeczytał — podumał — i uśmiechnął się. Klara wolniej odechnęła.

— I cóżeś mu odpowiedziała?

— Na pierwszy: że nie znam Revue des deux mondes z tego roku; na drugi: że wieczorem będziemy w domu.

— A dla czegóż mi tego zaraz nie powiedziałaś? Dlaczego z tych listów tajemnicę robiłaś?

— Ot!... — położyła głowę na jego piersi — tąk sobie dla igraszki... a odpokutowałam strasznie... w nocy i dziś trwożyły mnie te szpargały.

— Weź-że je sobie!

— Lepiej zniszczę zaraz! — podarła je i w ogień na kominku rzuciła.

— Ależ te, które ty pisałaś do niego? Lucjan patrzał na nią badawczo.

— Boże! — pobladła i przycisnęła dłonie do twarzy — takie głupstwo!... Słów tam jest tylko kilka. Ale, jednak, gdyby odebrać je można...

— Wtedy nadałoby się im ważności! — Lucjan z wewnętrznem zadowoleniem na nią spojrzał.

Usiadła przy nim i objęła go za szyję.

— Lucku! — wymówiła głosem stłumionym.

— Czy jeszcze masz co na sercu?

— Lucku! — położyła głowę na jego piersi.

— Cóż więcej powiesz?

— Ja... jam chciała podobać się jemu...

— Kokietowałaś! — Lucjan usuwał się znowu, jak gdyby ją chciał odepchnąć.

— Och, nie kokietowałam!... To brzmi szkaradnie... Była to zabawka...

— Fatalna, niecna, niegodna, która do zguby prowadzi! Tak zaczyna się zwykle: zabawką, małą niby zalotnością... aż dojdzie do złego.

— Och, Lucku! Lucku! — Klara załamała dłonie.

— Jakżeż sobie przytem Złotowiecki postępował? — Lucjan zachmurzył się trochę.

— Powiedział mi grzeczność nie jednę. ale... tak, bez znaczenia... potem, że... że... że już nie pojedzie do Warszawy...

— I myślisz, że on dla ciebie tu pozostał? — Lucjan porwał się i wybiegł na

środek pokoju — może tobie nawet to powiedział?

— Nie, nie!... Niewyraźnie Och, Lucku! Przez miłość Boga, Lucku! — upadła przed nim na kolana i ręce złożone wzniosła.

Podniósł ją z ziemi i na fotelu posadził. Zapłakała.

— Daj mi odetchnąć! — wymówił głucho i szybkim krokiem pokój przemierzał.

Klara ciągle płakała.

— No, już dość tego! — zawołał po chwili. Podniósł ją z fotelu i przycisnął do piersi. Miał łzę na żrenicy.

Klara na piersi jego łkała.

— Uspokój się! Siadaj! — posadził ją przy sobie na kanapie. — Posłuchaj mnie Klaro. Weszłaś nieoględnie, nieuważnie na złą drogę i po śliskiej a ponętnej poczęłaś ślizgać się ścieżce. Czyniłaś to niby dla zabawy, a byłaby ciebie w przepaść powiodła. Bezmyślna, chciałaś nagannie podrażnić uczucie i wywołać uwielbienie dla siebie, a niodoświadczona z własnem poczęłaś igrać sercem. Złotowieckiemu nie dziwię się wcale, mężczyźni zbyt są pochopni do takiej ponęty, a Józefów dziś nie ma. Tacy panowie Złotowieccy wychodzą cało z przejść podobnych i dramacików... a potem i podrwią sobie jeszcze. Albert Złotowiecki jest może więcej honorowym pod tym względem. Znam go za mało. Zawsze jednak ocalałby bez rany serca. Kokietowanie jakiego młodego poczciwca, prostaczka, inne wszakże mogłoby wywrzeć skutki hańbiące każdą kobietę — kokietkę. Pamiętaj o tem, Klaro!

— Okropne prawisz mi rzeczy! — zawołała ze łzami.

— Ale tak — mówił dalej — jak panowie Juliany i im pdobni wypłyną zdrowo, to kobieta, która z początku lekkomyślnie pośliznęła a dalej występnym poszła manowcem, — nieszczęśliwa zawsze stanie się ofiarą opuszczoną! — Musiałem ci wszystko wypowiedzieć jasno a z prawdą, dla przestrogi i nauki! — A teraz już o tem ani słówka więcej! — przycisnął jej głowę do piersi.

— Uciekajmy ztąd! — szepnęła głosem stłumionym.

— Czy lękasz się tu niebezpieczeństwa?

— Nie, nie! Boże uchowaj! — podniosła głowę; — dziś wszystko, co łudziło, jest mi wstrętnem, obmierzłem!... Złotowieckiego nawet widzieć nie chcę!

— Czyliż ci kiedy mówił o miłości?— zapytał Lucjan głosem urywanym.

— Nigdy ani jednem słówkiem! Przenigdy!

— To i spokojną być możesz.

— Nie przyjmę jego wizyty!

— Gdy mnie w domu nie będzie, nie przyjmuj. Ale niechaj bywa u nas jak dawniej; dziwiłoby go inne postępowanie i dało do myślenia... a pochlebiało by niezawodnie. Dziwiłoby i tych, którzy nas znają i jego. Pozostaniemy z nim niby-to na dawniejszej stopie. Ale ty, pod jakimbądź pozorem, unikaj z nim każdego sam-na-sam, a uszanuje on to zapewne. Wszakże on niebezpiecznym nie jest dla ciebie? — zapytał z głębokiem uczuciem, a łagodnie; — serce twoje...

— Och, Lucjanie — i zsunęła się znowu do stóp jego — ja tylko ciebie kocham! Odurzyła mnie lekkomyślność na chwilę, ale ty całe serce moje posiadasz, całe na zawsze ty jeden tylko!

Podniósł ją ze łzami i uścisnął.

— Pójdę do Złotowieckiego,. pomówię z nim o tej całej strasznej historji Krężelskich, bo rzecz jest głośną. W··· to małe miasto! — A potem zaproszę go na herbatę. Bądź dla niego taką, jak zawsze, a dasz mi najwyższy dowód przywiązania: bądź swobodną a oględną.

Pan Albert zatem bywał u nich jak dawniej, ale nigdy już Klary sam-na-sam nie widział. Przychodził do ich loży; niby-to było wszystko jak dawniej, a jednakże zmieniło się wszystko. Wyjeżdżał zawsze na dni kilka.

Nadeszła kanwa z Warszawy, włóczki i wzory. Klara z gorączkowem zamiłowaniem haftować poczęła: dobierała kwiatów, arabesków, kolorów i cieniów, co jej nieokreśloną sprawiało przyjemność. Mało odtąd czytała, a raczej, czytywał jej Lucjan głośno polskie książki.

Dnia jednego oddano jej list z poczty. Pisma nie znała. Otworzyła — pobladła — i przeczytała, drżąc cała:

„W styczniu, napisał pan A. Z. do przyjaciela: Nie pojadę już do Warszawy, bo tutaj miłe nastręczyło się zajęcie. V o u s c o m p r e n e r! Wdzięczna kokieteczka, jak koteczka. To i jakżeżbym nie korzystał z takiej b o n n e f o r t u n e. Jestem właśnie do wzięcia.“

—„Kalikst Zerowicz!“ wymówiła posiniałemi ustami — pomścił się za doznane ze strony Złotowieckiego lekceważenie... Stało się tak dobrze... ależ nikczemny zawsze!— spaliła anonym. Dnia każdego dziękowała gorąco Bogu, że tak uchroniła się szczęśliwie.

O Klementynie słyszeli, że jest u rodziców i że wiele musi znosić od ojca. Stanisław Krężelski przyszedł do siebie, ale cierpiał moralnie zawsze; Klementyny zapomnieć nie mógł. Ińcia przy nim została i postarał się dla niej o dobrą i sumienną opiekunkę.

Juljan Sieradzki pogonił do Warszawy. Wziął paszport za granicę i wyjechał. Ani się zapytał nawet co z biedną dzieje się kobietą.

W kwietniu wrócili Trzebiewscy do Sosnowa. Wszystko tam Klarze przedstawiało się powabniej. Zajęła się i ogrodem, który upiększyć postanowiła. Wanda przyrzekła jej listownie, że ich z mężem w ciągu lata odwidzą, więc i chciała popisać się przed nią. Przytem i kanwowa robota skrzętnie postępowała.

Lucjan, zdawało się, że teraz więcej jeszcze pokochał żonę. A raczej dbał bardziej o nią; szukał i wynajdywał dla niej przyjemności i zajęcia. Często teraz kuzynki i pokrewni, lub zaprzyjaźnione osoby, bywały w Sosnowie. Klara zatem, mając gości w domu, pamiętała o ich przyjęciu i wygodach — i wkrótce wcale skrzętną stała się gosposią.

W rok potem dał im Bóg synka. Odtąd i raj cały dla niej zawitał.

Koniec.

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

I.

Przez Alpy.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby nie ciemna noc, nie daleka droga, która na nas czekała i nie perswazje pana Eustachego, my młodsi bylibyśmy się puścili w głąb tej podziemnej pieczary. Serce pragnęło nowych wrażeń, ale rozum radził wrócić do miasteczka.

Karol rozmawiał z Poznańczykiem, a ja myślałem o potędze pracy ludzkiej, powstrzymującej morza i rozrywającej pasy najwyższych gór. Gdy w roku 1851 nadmieniono po raz pierwszy o tunelu przez wnętrze Cenizjusza, ludzie codzienni, nazywający każdą myśl nową — szaleństwem, ozdobili i ten pomysł takiem samem mianem. Tymczasem największy ówczesny mąż stanu we Włoszech, Cavour, rozważywszy wszystkie trudności, kazał rozpocząć prace w r. 1857. Francja spodziewając się po tem przedsięwzięciu niemałych korzyści dla swojego handlu, podpisała czemprędzej układ, mocą którego obowiązała się kopać tunel od strony Sabaudji.

Kierownictwo nad robotami objął genjalny inżynier francuski, p. Someiller, który atoli nie doczekał się ukończenia pracy podjętej; umarł przed otwarciem tunelu. On pierwszy zaprowadził maszyny własnego wynalazku, poruszane za pomocą ściśnionego powietrza, i świdry djamentowe, które odtąd we wszystkich tunelach niepospolite oddają usługi. Właśnie gdyśmy z inżynierem rozmawiali, niepokonane te narzędzia przerzynały pokład kwarcu pierwotnego, na którym kruszyła się przedtem najsilniejsza stal angielska. Mimo takich narzędzi, posuwano się dziennie w głąb zaledwie o pół metra, a że pokład cały wynosił przeszło 400 metrów, więc tunel byłby może do dnia dzisiejszego nie ukończony, gdyby żłobienie musiało się było odbywać za pomocą świdrów stalowych.

Tunel, mający szerokości 180 stóp, a długości 12.220 metrów, tj. przeszło trzy godziny drogi, leży na 1.330 metrów nad powierzchnią morza, a o 1060 metrów niżej, jak najwyższy szczyt Cenizjusza. Przez długie lata pracowało nad nim 4.000 robotników. On i kanał Suezki, skracający drogę z Europy do Indji o 3.000 mil morskich, oto największe dzieła komunikacyjne naszego stulecia. Dziś stało się wszystko możliwem. I utworzenie morza na Saharze, i połączenie Anglji z Francją za pomocą tunelu podmorskiego, i rzucenie mostu z półwyspu włoskiego na Sycylję i... i... albo ja wiem co jeszcze?

Włosi przekonawszy się o praktyczności pierwszego pomysłu, postanowili w porozumieniu ze Szwajcarją zająć się żłobieniem nowego tunelu przez wnętrze góry św. Gotharda, któryby Apeniński półwysep połączył ze środkową Europą. Prusy i południowe państwa niemieckie przyrzekły dać ze swej strony na ten cel kilkadziesiąt miljonów franków. Na początku r. 1866 chciano już przystąpić do rozpoczęcia robót, gdy w tem wybuchła wojna między Prusami, Włochami i Austrją. Na kilka tygodni przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich oświadczyły najpierw Prusy, a za niemi także południowe Niemcy, że

z przyrzeczenia uiszczą się dopiero po skończonej wojnie. Włochy zajęte armją austrjacką, nie miały czasu myśleć o tunelu, a biedna Szwajcarja nie mogła płacić za wszystkich.

W lutym r. 1867 przybył do Florencji pełnomocnik szwajcarskiej Rady Związkowej, aby ważną tę sprawę na nowo podjąć. Rząd włoski łudził go obietnicami, ale stanowczego przyrzeczenia nie dał do ostatniej chwili. Czytelnik pozwoli, bym odstępując od rzeczy, opowiedział krótką pogadankę, jaką rzeczony pełnomocnik miał w tym czasie z pruskim ambasadorem.

Na balu królewskim, danym w pałacu Pitti, poczciwy Szwajcar zszedł się w jednej z sal pobocznych z dawnym swym znajomym, który dziś figurował jako poseł pruskiej monarchji. Był to hr. Usedom, ten sam, który w nocie, wręczonej jenerałowi Lamarmorze, zachęcał Włochy do maszerowania na Wiedeń i rozbicia Austrji, a który do niedawna jeszcze był pruskim posłem we Florencji. Dobroduszny Szwajcar zaczął od tego, co mu najwięcej na sercu ciężyło.

— Ekscelencjo — rzekł do ambasadora — z naszą koleją źle rzeczy stoją...

— Zapewne pieniędzy nie macie — wtrącił hr. Usedom z owym słodko-kwaskowatym uśmiechem, po którym łatwo między zwykłymi śmiertelnikami poznać każdego dyplomatę.

— Nieinaczej, Ekscelencjo! Włosi wydali wszystko na zeszłoroczną wojnę i jeszcze długów narobili, a Prusy nie dotrzymują przyrzeczenia... Obiecali nam 40 miljonów... Gdzież one są? Czy nie raczyłbyś, Ekscelencjo, napisać w tym przedmiocie do pana Bismarka?...

— O mój panie — zawołał dyplomata — my teraz pieniędzy nie mamy na kopanie jam w górach...

— Żarty — odparł Szwajcar nieco rozdąsany — wszak wy szukacie dobrze pieniędzy w cudzych kieszeniach... Dowodem tego zeszłoroczna wojna.

— Zapewne chciałeś pan powiedzieć, że umiemy nakładać kontrybucje — rzekł dyplomata ze złośliwym uśmiechem — no, to prawda, ale tych pieniędzy potrzebujemy na dyktowanie praw Europie.

Rozmowę powtórzyłem prawie dosłownie.

Dziś zmieniło się położenie o tyle, że interesowane państwa kazały już rozpocząć roboty, i jeśli nie zaskoczy nic nadzwyczajnego, np. europejska wojna przewracająca ogólne stosunki, tunel przez wnętrze św. Gotharda będzie wkrótce należał do dzieł ukończonych.

Rozmaici przedsiębiorcy zamierzają żłobić trzeci tunel przez wnętrze Simplonu.

Po skończonej wieczerzy w miasteczku, składającej się z chleba, sera, owoców i wina, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Około północy niebo zaczęło się wyjaśniać. Wiatr ustał, czarne chmury w połowie znikły, a smutna twarz księżyca wychyliwszy się z poza łańcucha gór, oblała złotem światłem ich skaliste wierzchołki, nadając im jeszcze więcej tajemniczej powagi. W jednych tylko rozpadlinach było całkiem ciemno; tam rwiące potoki wiodły kłótliwy rozhowor z czarnemi nocy duchami.

W pół godziny ujrzeliśmy jakieś mury, zamykające nam drogę. Była to nie wielka twierdza Lesseillon, którą w r. 1859 otrzymał z całą Sabaudją i Niceą Napoleon III. od Wiktora Emanuela, za oswobodzenie Lombardji z pod austrjackiego panowania. Twierdza ta zbudowana nad skalistemi przepaściami, jest strategicznym kluczem drogi, wiodącej z Włoch do Francji, i kto ją posiada, ten każdej chwili może krociową armję przerzucić na Apeniński półwysep. Prędzej czy później Włosi musieli Francji odstąpić Sabaudję, bo lud sabaudzki jest na wskróś francuskim. Nawet w dawnych czasach, gdy kraj ten należał do Piemontu, Sabaudczycy uważali zawsze Francję za ojczyznę a Paryż za swoją stolicę — i dla tego nie szukali nigdy zarobku w Turynie, od którego dzieliły ich nieprzebyte góry, ale w Paryżu. Między dwiema przepaściami, wykuta w skale przez Napoleona I. wąska prowadzi dróżyna, przy której wojskowa stoi strażnica. Żołnierz chodzący z bronią na ramieniu, nie pytał nas gdzie i poco idziemy — minąwszy więc spokojnie twierdzę, weszliśmy znów na szerszy gościniec, który od St. Michel, lubo nieznacznie, wiódł nas ciągle pod górę.

O godzinie 8ej rano stanęliśmy w Lanslebourgu. Mieścina ta, składająca się z kilkunastu ubogich domków, między któremi jest aż pięć hotelów, leży u stoku najwyższego szczytu Cenizjusza, na parę tysięcy stóp nad powierzchnią morza. Zimno tu dokoczliwe; koło domów drzew owocowych i jarzyn brak zupełny, tylko gdzie niegdzie karłowate jodły, kołysane na wskróś przenikającym wiatrem skrzypią przeraźliwie — a na drobnej trawie pasą się krowy i kozy, jedyny dobytek tutejszych mieszkańców. Czy uwierzycie, że w całej mieścinie nie ma ani jednego konia? Brak dobrej paszy i owsa, nie pozwala posługiwać się tem szlachetnem zwierzęciem. Zresztą—na co może się tu koń przydać? Pola nikt nie uprawia, bo zboże tu się nie rodzi; podróży nikt ztąd nie odbywa, bo tu świat się już kończy; a na góry nikt się na koniu nie wdziera, bo ludzkie nogi oddają w takich wycieczkach najlepszą usługę.

Mieszkańcy Lanslebourgu są czerstwi, rumiani, chorób nie znają, bo świeże powietrze dba samo o ich zdrowie; z krów i kóz ciągną cały dochód w mleku i serze, który raz do roku wysyłają wielkiemi wozami, ciągnionemi przez osły i muły, w głąb Francji; wielkich wymagań nie mają; polityka nie wiele ich obchodzi; krótko mówiąc: żyją spokojnem życiem pierwszych patrjarchów.

Ileż to razy, włócząc się po górzystych kantonach szwajcarskich, stawałem przed chatą biednego wieśniaka, przylepioną do skały jak jaskółcze gniazdo, i myśląc o jego życiu, o jego zakresie działania, zazdrościłem mu szczerze w głębi mego serca. Nie pragnąc wiele, czując się cząstką tej olbrzymiej natury, która go w okół otacza, nie troszczy się o ten pstry świat w dolinach, i nie zazdrości mu ani jego szumnych zwycięztw, ani jego wielkich zawodów. Gdybyś go zapytał: Czy chcesz osiedlić się w równinach i żyć w dostatkach? bez wahania pewnieby ci odpowiedział: „Wolę moje góry i moje nędzne, ale niepodległe życie!“

Kiedy siedząc w małej izdebce, przypominającej nierównie więcej nasze polskie gospody, niż francuskie restauracje, zajadaliśmy z chciwością zgłodniałych tygrysów kawały smażonego bifsztyku, i kiedy rumiana gospozia, ubrana w przedpotopowy czepiec, wlewała do szklanek czerwony strumień starego *Bordeaux* — zjawił się przed naszym stołem wysmukły młodzieniec, pytając, czybyśmy go nie chcieli wziąć za przewodnika.

Kto idzie do wierzchu góry drogą wężową, wykutą na początku bieżącego stulecia przez Napoleona I. ten traci co najmniej pół dnia czasu, gdy tymczasem wdzierając się do szczytu drobnemi ścieżkami, znanemi tylko mieszkańcom tutejszych okolic, można całą tę przestrzeń przebyć w trzech godzinach. Znużeni długą podróżą po bitym gościńcu, przyjęliśmy z największą radością propozycję młodego Sabaudczyka, a pożegnawszy się z rumianą gosposią, która jeszcze w progu radziła ostrożność i życzyła szczęścia, zwróciliśmy się na prawo.

Z początku szliśmy szybko, lecz w pół godziny zaczęły nas siły opuszczać. Młody Sabaudczyk skakał tymczasem jak koza po skalistych urwiskach, a gdy zadyszani i spoceni usiadaliśmy co kwadrans na bryłach granitu, on stał zawsze o kilkaset stóp wyżej nad nami i śmiał się serdecznie z naszej powolności. Spojrzałem w około. Góry w prawo, góry w lewo, góry przedemną, jak zasięgnie oko jedno morze nieruchome, skaliste... Przestraszyłem się tej wielkości natury... Sądziłem, że albo mnie ten ogrom przydusi, rozkruszy, albo jak wyznawca Buddhy rozpłynę się w tej nieskończoności. Lanslebourg przypominał w dole małe miasteczko, ustawione z drewnianych domeczków przez bawiące się dzieci.

Szczyt Cenizjusza okrywała gęsta mgła, przez którą przebijały gdzie niegdzie białe szmaty śniegu, leżące na niedostępnych jego krawędziach. Wkrótce weszliśmy w tę krainę zimna i wilgoci. Sabaudczyk wyprowadziwszy nas na gościniec i otrzymawszy zapłatę, skłonił się grzecznie i jak kula potoczył się w dół. Długo patrzyliśmy na tego syna dzikiej natury, skaczącego po skałach z zuchwałą odwagą, dopóki gęsta mgła nie wydarła go ciekawej źrenicy.

Wzdłuż gościńca stoją co kilkaset kroków małe domki z kamienia, służące za przytułek dla pieszych podróżnych.

W zimie gdy śniegi zasypią drogę, której szerokość wynosi tu zaledwie stóp ośmnaście, małe te domki, strzeżone przez jakiego kalekę lub podeszłą kobietę, są jedynem schronieniem dla pieszych wędrowców. Tu robotnik zmęczony może bezpiecznie odpocząć, tu znajdzie zawsze kawałek chleba z serem i szklanką wina ogrzanego.

Jak widzicie, dziś tędy podróż nie trudna, i Napoleon I. cudu nie dokazał, gdy na czele niezwyciężonych swoich obdartusów zrzucał się z tych wyżyn na armję austrjacką. Wprawdzie gościńca murowanego wtedy jeszcze nie było, dzisiejszy bowiem został przez niego zbudowany w r. 1805. atoli droga zwyczajna była oddawna, gdyż znano ją nawet w wiekach średnich. Ale jak sobie radził Hannibal, ów wódz z pod palącego nieba Afryki, który z zastępem nieprzywykłym do zimna, i ze słoniami, które po lodach i śniegach chodzić nie umieją, ciągnął tędy*) na śmiertelnych swoich wrogów, podczas gdy od Romy dolatywał go głos pełen trwogi: *Hannibal ante portas!* Czego to genjusz nie dokaże!

Wstąpiwszy do jednego domku, kazaliśmy sobie ograć butelkę wina czerwonego. Wino cukrem i korzeniami przyprawione było wyśmienite, ale gdy niemłoda już kobieta, będąca jedyną mieszkanką jedynej izdebki, kazała sobie zapłacić za nie sześć franków, my młodsi takeśmy się

*) Według najnowszych badań historycznych, Hannibal ciągnął przez Mont-Cenis, a nie przez małego Bernharda. (Przyp. autora.)

oburzyli, że nawet na dworze nie mogliśmy się uspokoić.

— Trudna rada — perswadował p. Eustachy — babina siedzi tu jak w więzieniu, więc za tę nieprzyjemność żąda wynagrodzenia od zamożniejszych podróżnych. A zresztą — dodał z uśmiechem — może przeczuła żeśmy Polacy, więc kazała zwrócić sobie to, co jej zostali winni dwaj nasi rodacy.

— Jacy?

— Książę Sulima i Doktor***.

— Który doktor***? Jaki książę Sulima? O takim księciu nie słyszeliśmy w Polsce.

— I ja nie słyszałem o nim w Polsce, ale za to we Włoszech znają go wszyscy. Co do Doktora, jest to niestety ten sam, którego opowiadania i podróże były u nas swego czasu powszechnie czytane. Głowa niepospolita, ale lekkomyślność jeszcze większa. Przed laty kilkunastu wyniósł się z kraju, a poznawszy się w południowych Niemczech z pewnym awanturnikiem, który przezwał się szumnie księciem Sulimą, i niby był pretendentem do tronu polskiego, żył wespół z nim bardzo długo kosztem łatwowiernych. Już to jak Polak się uda, to wszystkich przejdzie. Kilka lat temu byli ci panowie w Badeńskiem. Sulima miał lat dwadzieścia pięć, powierzchowność dystyngowaną, swadę wyborną, a arogancję bez granic. Doktor*** zawarłszy z nim sojusz zaczepno-odporny, chodził zawsze we fraku i białym krawacie, grając wybornie rolę nadwornego lekarza księcia pana. Jakiś czas dobrze im się działo. Książę rozdawał Niemcom ordery własnego wynalazku, a uradowane niemczyska w dowód wdzięczności urządzały uczty i pożyczały pieniędzy na słowo i bez procentu. Po kilku jednak miesiącach fortuna machnęła ogonkiem, i pewnego pięknego poranku nasi panowie ujrzeli się bez grosza. Co teraz począć? Po walnej naradzie ułożyli plan zuchwały, którego wykonaniem natychmiast się zajęli. W Karlsruhe mieszkał stary książę, nie fałszywy, ale najprawdziwszy w świecie, który miał pieniądze i metresy, ale nie miał odwagi. Sulima znał go dobrze. Tego samego dnia wieczorem odszukał go w salonie pewnej piękności. Po herbacie, stosownie do przyjętego w tym domu zwyczaju, siadają do zielonego stolika. Zaledwie karty rozdano, Sulima wszczyna sprzeczkę ze starym libertynem, która wkrótce takie przybiera rozmiary, że aż nasz bohater czując się dotkniętym na honorze, wyzywa przeciwnika na pojedynek. Sulima zaperzony wychodzi, a biedny Niemiec wraca do domu z duszą na ramieniu. Nazajutrz Doktor*** zjawia się u przeciwnika swego chlebodawcy... i delikatnie daje mu do zrozumienia, że jego pan, prince Sulima, znajduje się obecnie w dość przykrem położeniu finansowem, ponieważ pełnomocnik nie nadesłał mu jeszcze pieniędzy; jeżeli zatem książę nie chce się z nim strzelać — a pan jego trafia każdego asa na 25 kroków, Niemcowi jeszcze zimniej się zrobiło — to w takim razie niech mu zręcznie pożyczy 6.000 guldenów na dwa tygodnie, a skutek będzie niewątpliwie ten, że Sulima doznawszy takiej grzeczności, będzie się czuł zawstydzonym i odstąpi od pojedynku. Doktor tak wybornie grał rolę anioła opiekuńczego, a w słowach jego tyle było naturalnej życzliwości dla nieszczęśliwego księcia, że poczciwy Niemiec nie domyślając się nawet cienia zdrady, zaczął go natychmiast prosić, aby raczył zająć się pośrednictwem w tej sprawie delikatnej. Po dłuższem wahaniu Doktor uległ prośbie i wziął sześć banknotów. Nazajutrz ptaszków nie było już w stolicy; sznurkiem pociągnęli do Baden-Baden, gdzie w jednym dniu zgrali się do nitki. Wstawszy od rulety z dwudziestoma guldenami wyruszyli do Włoch. W St. Michel został im tylko jeden gulden, który spoczywał na dnie kieszeni szanownego Doktora. Nie z przyjemności zatem, jak my, ale z konieczności szli tą oto drogą. Sulima biegł przodem w eleganckim tużurku i pledem obwiązany — a Doktor jako znacznie starszy nadciągał z tyłu. Pierwszy wstępował niemal do każdego domku, wypijał pół butelki wina i jadł kawałek sera, a gdy dozorczyni upominała się o zapłatę, wyprowadzał ją protekcyjnie za rękę na dwór, a pokazując o kilkaset kroków w głębi idącego Doktora, mówił najspokojniej:

— Widzisz, moja duszko, tam oto idzie mój sekretarz, on więc zapłaci, gdyż ja pieniądzy nigdy z sobą nie noszę.

Po tych słowach szybko wspinał się do góry, a poczciwa Sabaudka nie domyślając się zdrady, czekała przybycia sekretarza. Ten przyszedłszy wchodził poważnie do izby, wypijał drugą półbutelkę, a zjadłszy także kawałek sera, gotował się do dalszej drogi.

— Niech pan zapłaci! — napiera gospodyni.

— Jakto? Ja mam płacić? Albożksiążę, mój pan, nie zapłacił będąc tu przed chwilą? Chyba żartujesz, poczciwa kobieto! Wszak widziałem na własne oczy, jak mnie pokazywał. Alboż nie mówił ci wtedy, że to ja mam prawo do tego wina, za które pieniądze zostawił?

— Bynajmniej! On mówił, że pan jako jego sekretarz masz z sobą kasę, więc zapłacisz za siebie i za niego.

— Patrzcie jaki filut! Chciał sobie ze mnie zażartować. Ale to nic nie szkodzi, chodźmy go zawołać, a wróci.

Wychodzą i Doktor woła basem: książę! a Sabaudka wtóruje mu sopranem: książę! Książę atoli bardzo już wysoko i ani myśli się obejrzeć. Doktor woła coraz głośniej i zbiera nogi chcąc go niby dogonić, a Sabaudka czeka powrotu obu od owego dnia aż do dziś. Oto dla czego kazała sobie zapłacić sześć franków za butelkę wina.

— Więc to tej się stało, u której byliśmy przed chwilą? — zapytał Karol.

— Czy tej, czy innej, tego ja już nie wiem — odparł p. Eustachy. — Domków jest tu razem trzydzieści, we wszystkich zatem nie powtórzyła się ta sama scena, bo nawet taki sławny pijus jak Doktor*** nie mógł wyciągnąć w kilku godzinach trzydzieści półbutelek wina. Zapewne powtarzali swoją operację na wyrywki, a że żadna dozorczyni nie może opuścić swego domku, głos zaś od jednego do drugiego dla znacznej odległości dolecieć nie może, brzydka zatem sztuczka udawała im się wyśmienicie, tem łatwiej, że najczęściej całemi godzinami nie widać tu podróżnych, którzyby pokrzywdzonej mogli byli z pomocą pospieszyć.

— I cóż się potem stało z tymi paniczami?

— Sprawdziło się i na nich przysłowie, jak na tylu innych: że kłamstwem przejdziesz świat, ale nie wrócisz. Opowiem wam to jednak dopiero po drugiej stronie góry, gdy na dół będziemy schodzili. Wiatr tu tak silny, że oddech w piersi tamuje, a moje piersi jak wiecie nie żelazne.... Teraz silentium i naprzód!

Przyspieszywszy kroku, w samo południe stanęliśmy na szczycie góry, na dolinie Madellino, mającej długości $1\frac{1}{2}$ mili, a położonej na 11.000 stóp nad powierzchnią morza, której jedna połowa należy do Francji, a druga do Włoch.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Król pruski, zawiadamiany przez Piotra III z największą drobiazgowością o jego czynach i zamiarach, często radził mu dobrze. Z początku usiłował odwieść go od nieprzyjacielskich kroków przeciwko Danji, których Piotr postanowił się chwycić dla odebrania od niej księstwa Holsztyńskiego, lecz widząc że się to w żaden sposób nie da, doradzał, by przed rozpoczęciem wojny koronował się w Moskwie z całym przepychem, podług tradycyjnego ceremonjału, i by nie wyruszył w pochód bez zagranicznych ministrów i tych ze znakomitszych magnatów moskiewskich, których wierność dla niego będzie podejrzaną. Robił go przytem uważnym, by nie spieszył się z zabieraniem majątków kościelnych, ani wtrącał się do ubiorów mnichów, dla tego że te na pozór drobne rzeczy bywają najważniejszemi w oczaach zabobonnego ludu; na ostatku skłaniał go do szanowania żony, a przedewszystkiem ostrzegał aby myślał o swojem bezpieczeństwie.

Piotr III był tak dalekim od jakiejkolwiek myśli o niebezpieczeństwie, że pisał do Fryderyka: „Co się tyczy troskliwości o moje bezpieczeństwo, to proszę się o nie wcale nie troszczyć. Żołnierze nazywają mnie „swoim ojcem“ powtarzając, że daleko im przyjemniej gdy są rządzeni przez mężczyznę, jak przez kobietę; przechadzam się sam po Petersburgu, a gdyby kto chciał co złego mi uczynić, dawno już byłby znalazł do tego sposobność; robię wszystkim ludziom dobrze, i polegam na miłosierdziu Boskiem — przy niem nie mam się czego bać“.

Nie masz najmniejszej wątpliwości, że Fryderykowi znany był dostatecznie charakter Piotra III i Katarzyny, co mu naprzód pozwoliło przewidzieć wypadki; wskutek czego ambasadorowi swemu nakazywał, aby nie przestając utrzymywać najlepszych stosunków, był również z najgłębszym szacunkiem dla carowej. Nieszczęście chciało, że Piotr nie chciał słuchać nauk swego mistrza i nieznacznie powracał do dawniejszych nałogów: często całemi dniami palił fajkę i pił wino w gronie podłych dworaków, których większa część czyhała na jego zgubę, cieszyła się z jego rozpusty i z wprowadzenia zgubnych dlań innowacyj. Zachowanie się jego z carową było zagadkowe: w tym samym czasie bowiem, gdy wychwalał jej rozum, okazywał jednocześnie dla niej wzgardę. Podczas najwspanialszych obrzędów kościelnych, jak np. w święto Trzech króli, carowa będąc uproszoną przez niego, pokazywała się na ceremonji ozdobiona wszystkiemi insygniami carskiej godności; Piotr natomiast szedł za nią w zwykłym mundurze pułkownika, jakby przez to chciał okazać narodowi, że ona została stworzoną do panowania, a on aby jej tylko służyć. Nawet na zamku stroił ją w najbogatsze ubiory, a sam w mundurze pułkownika prezentował jej swego pułku oficerów, nazywając ich

przytem kolegami. Piotr W. tak samo postępował z Katarzyną I. i ks. Mieńżykowym, lecz umiał w razie potrzeby okazywać cesarskie dostojeństwo, wyzyskując okoliczności i środki, na jakich brakło Piotrowi III. Powierzchowna ta zgoda nie długo atoli panowała, a zaledwo car uczuł się utwierdzonym na tronie, natychmiast zaczął okazywać dla carowej wzgardę i często okropnie ją poniżał.

Podczas zawarcia pokoju z królem pruskim, spalone były wielkie ognie sztuczne. Piotr siedział obok Katarzyny, a gdy ujrzał przechodzącą hrabinę Woroncowę, swoją kochankę, zawołał ją do siebie i posadził po drugiej stronie. Katarzyna natychmiast wyszła. Piotr zaś wcale nie myślał ją zatrzymywać. Tego samego wieczora przy wieczerzy, gdy pito zdrowie ks. Jerzego Holsztyńskiego, wszyscy wstali prócz jednej Katarzyny, która uskarżała się na ból w nodze; Piotr tak się rozgniewał za ten brak uszanowania okazany jego wujowi, że złajał ją po karczemnemu, z dodatkiem przezwiska, jakolwiek zasłużonego, lecz wcale nieprzyzwoitego dla małżonki.

Zawstydzona Katarzyna, zalewając się rzewnemi łzami, wyskoczyła z za stołu i prosiła szambelana Stroganowa, by ją zaprowadził na pokoje. Piotr chcąc powiększyć zniewagę, kazał nawrócić szambelana i odesłał go na odwach. Głośne łkania carowej wzruszyły obecnych, i Piotr III zohydził siebie tym warjackim wybrykiem w oczach wszystkich.

Ostatnia scena wraz z poprzedniemi ożywiły nadzieje Katarzyny; jasno teraz widziała, że im więcej będzie uprzejmą i ostrożną, tem łatwiej wystawi Piotra na pogardę; zdawało się, że niczem nie jest tak zjętą, jak odzyskaniem utraconej miłości męża. Będąc mistrzynią w sztuce udawania, wysilała się by rozczulać naród temi uczuciami, któremi najbardziej się brzydziła. Filozofka-Niemka przekształciła się na dewotkę; co dnia jeździła po cerkwiach, gdzie łkając modliła się przed obrazami; skrupulatnie wykonywała najdrobniejsze przepisy wyznania greckiego; z powierzchownemi oznakami miłosierdzia rozdawała jałmużny i obchodziła się z wielkiem uszanowaniem z popami, którzy od domu do domu roznosili o niej największe pochwały. Tak samo różnił się sposób życia małżonków i wewnątrz zamku. Gdy Piotr zamykał się z hr. Woroncową, Kejtem i pruskimi oficerami, albo zapomniawszy o swej godności, obchodził się po przyjacielsku z kuglarzami i sadzał ich obok siebie u stołu, Katarzyna utrzymywała swój dwór w największej skromności i powadze; każdy, kto miał przystęp do niej, wychodził olśniony. Carowa zaś starała się przedewszystkiem przyciągnąć do siebie ludzi, z których znaczenia, odwagi i zdolności intrygowania mogłaby w danym razie skorzystać.

Nieostrożny car drażnił swojem postępowaniem nie tylko poddanych lecz i cudzoziemców, a większa część ajentów zagranicznych czuła się bardzo pokrzywdzoną. Za każdem ukazaniem się duńskiego posła, car zmuszał go znosić największe nieprzyjemności; austrjackiego przyjmował zawsze nader zimno; nawet sam wysoce szanowany za przeszłego panowania p. Bretel, poseł francuski, nie lepiej bywał traktowanym jak austrjacki. (C. d. n.)

EL VERDUGO.

Z ust Hiszpana zanotował

Kalikst Wolski.

(Dokończenie.)

Wiktor wydał rozkaz uwolnienia z więzów skazańców i sam poszedł rozwiązać sznury, które krępowały Klarę. Ona smutno się uśmiechnęła i rzekła:

— Czy ci się udało komendancie otrzymać łaskę, o którą markiz prosił?

Wiktor nie mógł powstrzymać się i głęboko westchnął; nie wiedział w jaki sposób oznajmić straszny wyrok generała. Spoglądał to na markiza, to na synów, to na Klarę i jej siostrę.

Stary markiz miał głowę pokrytą siwym włosem, które wydawały się jakby wzięte z obrazu Murilla. Markizowa pełna godności matrona zdawała się stworzoną na królowę. Najstarszy syn, Juanita, około lat 30 liczący, miał postawę dumną i pogardliwą, lecz nie zbywało mu na pewnej godności w ruchach i przebijała się owa delikatność uczuć, która niegdyś tak wsławiła galanterję hiszpańską. Drugi syn, Filip, 20to letni młodzieniec podobny był do Klary. Ostatni miał lat ośm i nareszcie ośmnastoletnia Klara i jej o dwa lata młodsza siostra Marja, tworzyły tę grupę ofiar, z której jeden członek miał się stać katem swych rodziców, braci i sióstr.

Na powtórne zapytanie Klary, oficer francuski jakby ocknąwszy się ze snu przykrego, ośmielił się nakoniec powiedzieć jej cicho warunek, pod jakim generał przystaje na żądanie markiza. Piękna Hiszpanka zadrżała zrazu, lecz w mgnieniu oka odzyskała spokojną postawę, a postąpiwszy kilka kroków, uklękła przed ojcem i rzekła:

— Ojcze! każ przysiądz Juanicie, że wiernie wykona rozkaz który mu dasz, a będziemy wszyscy zadowoleni! — I oznajmiła słabym głosem srogi wyrok.

Matce zabłysła nadzieja, lecz gdy nachylając się się ku swemu mężowi usłyszała okropne słowa Klary, nieszczęśliwa matka zemdlała, a Juanita wstrząsł się jak lew w klatce.

Wiktor otrzymawszy od markiza słowo poddania się okrutnemu wyrokowi, oddalił żołnierzy rozkazem, aby wyprowadzili służących, którzy oddani w ręce kata miasta zostali wkrótce powieszeni.

Gdy rodzina markiza nie miała już jak tylko Wiktora za dozorcę, stary ojciec powstał i rzekł:

— Juanito! rozkazuję ci!

Junita nic nie odpowiedział, tylko zwiesił głowę, co miało znaczyć odmowę; padł na krzesło i patrzał na rodziców wzrokiem suchym.... okropnym! Klara wówczas postąpiła do niego, usiadła mu na kolanach i obejmując rękami jego szyję rzekła wesoło:

— Mój drogi Juanito! gdybyś wiedział ile śmierć zadana przez ciebie wyda mi się słodką! Nie będę potrzebowała znosić obmierzłego dotknięcia rąk kata. Ty uwolnisz mnie od męki jaka mnie czekała i.... mój kochany bracie, wszak ty nie chciałeś mnie widzieć należącą do kogokolwiek, a więc?...

To mowiąc cudownie piekne jej oczy rzuciły ogniste i zalotne spojrzenie na Wiktora Marchand, jak gdyby chciała rozbudzić w sercu Juanity nienawiść przeciwko Francuzom.

— Miej odwagę! — odezwał się brat jego Filip — gdyż inaczej nasz ród prawie królewski wygaśnie...

Nagle Klara powstała, a całe rodzeństwo, które się przy nim zgromadziło, rozsunęło się. Stanął przed Juanitą sam markiz i uroczystym głosem powtórzył: — Rozkazuję ci! — Gdy jednak najstarszy syn pozostał nieruchomym, upadł starzec na kolana. Jakby elektryczną siłą popchnięci, Klara, jej siostra, Filip i Manuel naśladowali ojca. Wszyscy wyciągnęli ręce ku temu, który miał wybawić rodzinę od zagłady i potakiwali następujące słowa ojcowskie:

— Mój synu! czyż brakuje ci odwagi hiszpańskiej i prawdziwego uczucia? Chcesz że mnie długo widzieć u nóg twoich? I czy powinieneś zwracać uwagę na przyszłe cierpienia twego życia? Jest że to mój syn, pani? — dodał zwracając się do swej żony.

— On się zgadza! — wykrzyknęła z rozpaczą matka, widząc poruszenie brwi Juanity, którego znaczenie ona tylko zrozumiała.

Przybył ksiądz, cała rodzina otoczyła go i poprowadziła do Juanity; Wiktor zaś nie mogąc dłużej znieść tej sceny poszedł do generała spróbować, czy nie mógłby otrzymać złagodzenia wyroku.

Tymczasem kilku znaczniejszych obywateli miasta Menda, zgromadziło się na terasie, aby według rozkazu generała, być świadkami egzekucji rodziny y Legania. Oddział wojska był ustawiony dla utrzymania porządku między Hiszpanami stojącymi pod rusztowaniem, na których wisiały trupy służących zamkowych. O trzydzieści kroków wznosił się pień i miecz. Tam stał kat, który spełniwszy swoją funkcję na służących, miał ją dopełnić, w razie odmowy syna markiza, na panach zamku.

Wkrótce usłyszano wśród głębokiego milczenia chód oddziału wojskowego i głuchy szczęk broni, który łączył się z gwarem wesołym objadujących oficerów, tak jak poprzedniego wieczora tańce na balu pokrywały przygotowania do krwawej zdrady. Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom sali z których wychodziła rodzina y Legania. Wszyscy jej członkowie postępowali z bezprzykładną pewnością, a czoła ich były spokojne i wypogodzone. Jeden tylko z pomiędzy nich blady i zmieniony wspierał się na ramieniu księdza, który udzielał pociechy religijnej temu, co sam miał pozostać przy życiu.

Wszyscy obecni zrozumieli, iż Juanito zgodził się zająć miejsce kata. Gdy cała rodzina na miejsce fatalne przybyła, spowiednik ustawił ofiary tak, aby nie widziały narzędzia kary. Lecz to byli prawdziwi Hiszpanie i śmiało spoglądali na miecz i na pień gdzie ich za chwilę śmierć czekała. Kat pociągnął Juanitę za rękaw, odprowadził na bok i prawdopodobnie dawał mu instrukcje swego okrutnego rzemiosła.

Gdy Juanito wziął miecz w rękę i stanął przy pniu fatalnym, Klara podbiegła najpierw ku swemu bratu i rzekła:

— Ulituj się nad moją małą odwagą i zacznij odemnie!....

Przyklękła i już jej łabędzia szyja oczekiwała miecza, gdy dały się słyszeć szybkie kroki Wiktora Marchand, który blady i pomięszany zaledwie miał dosyć siły podbiedz i powiedzieć:

— Generał chce ci darować życie Klaro, pod warunkiem jeśli mnie poślubisz.

Hiszpanka rzuciła na oficera francuskiego wzrok pogardy i dumy, a zwracając się do swego brata, grobowym głosem rzekła:

— Dalej Juanito!

Głowa jej potoczyła się u stóp Wiktora. Matka słysząc ten łoskot nie mogła powściągnąć konwulsyjnego wzruszenia. Była to jedyna oznaka boleści.

— Czy dobrze tak? mój dobry Juanito!— było zapytanie, jakie zadał mały Manuel swemu bratu.

— Ach! ty płaczesz Markito! —rzekł Juanita do swojej młodszej siostry.

— O tak!— odpowiedziała młoda dziewica— myślę o tobie Juanito... będziesz bardzo, bardzo nieszczęśliwy bez nas.

Wkrótce wspaniała postać Markiza stanęła przed pniem, popatrzył na krew swoich dzieci, zwrócił wzrok ku niemym i nieruchomym widzom, a wyciągając ręce po nad głową Juanity wyrzekł donośnym głosem:

— Hiszpanie! daję memu synowi błogosławieństwo ojcowskie! a teraz Markizie uderz bez trwogi, jesteś bez zarzutu!

Gdy Juanito ujrzał zbliżającą się matkę podtrzymywaną przez spowiednika:

— Ona mnie wykarmiła! – wykrzyknął rozpaczliwie....

Głos jego wywołał okrzyk grozy w zgromadzeniu.

Wrzawa i śmiechy wesołe oficerów uciszyły się na to ogólne oburzenie. Matka zrozumiała, że odwaga jej syna już się wyczerpała; przeskoczyła balustradę i roztrzaskała swą głowę o skały.

Okrzyk uwielbienia rozległ się.... Juanito zemdlał!

. . . .

— Panie generale! — rzekł jakiś oficer na wpół pijany, — Wiktor Marchand opowiadał mi coś o tej krwawej egzekucji... prawie założyłbym się żeś nie miał serca jej nakazać.

— Nie zapominajcie, — zawołał szorstko generał Verdier — że jesteśmy w Hiszpanji, w kraju strasznego odwetu — piekielnej wendetty.... Czyż chcecie tu pozostawić wasze kości?

Po tem odezwaniu się generała nikt nie miał już ochoty dłużej biesiadować z oprawcą!...

. . . .

. . . .

Lat wiele upłynęło....

Pomimo szacunku jakim Juanito był otaczany, mimo tytułu „El Verdugo" (kat) który mu król hiszpański Ferdynand VII dodał do tytułu markiza y Legania, przygnieciony ciężarem strasznych wspomnień, oczekiwał on z niecierpliwością narodzenia syna, aby mógł się połączyć z drogiemi cieniami, które mu ciągle stały przed oczyma....

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Pokłady okresu potopowego.

W ciągu perjodu wynoszącego 21.000 lat, przybrała była oś kuli ziemskiej najpomyślniejsze położenie dla półkuli naszej w 1248 roku po Chrystusie. Według więc powyższej hipotezy, zbliżalibyśmy się do nowego okresu lodowego, podczas gdy antypodzi (przeciwnożne kraje) drugiej pułkóli przebyły już czasy najgorsze. Jakkolwiek nie możemy zaprzeczyć tych wpływów kosmicznych, to jednak o sile ich działania nie mamy dotychczas jasnego pojęcia. Większość zaś nowoczesnych astronomów począwszy od Herszla, nie zgadza się z przypuszczeniem, by one mogły wywierać znaczny wpływ na zmianę klimatu.

Że wznoszenie się i zagłębianie powierzchni ziemi zaczęło się jeszcze w okresie potopowym i trwa dotychczas, tego mamy liczne po dziś dzień dowody. I tak postrzegamy je na starych, wysoko nad teraźniejszem morzem wzniesionych terasach wybrzeży w Szkocji, Szwecji i Norwegji, w Sycylji, Sardynji i innych półwyspach. Wyszenie się stałego lądu w niektórych miejscach znaczne, może być także skutkiem odwrotu mórz, chociaż nie ma tam nawet wznoszenia się rzeczywistego poziomu. Tak samo niepodobna zawsze przypisywać zagłębianiu się poniży, zalania ich wodami morskiemi.

Z istniejących jeszcze pokładów i z części organicznych które zawierają, nie trudno dowieść, że wszystkie niżej położone kraje europejskie, jak Hollandja, poniże Niemiec północnych, tudzież część Rossji, Anglja, Danja, Szwecja i Norwegja, stały niegdyś pod wodami mórz: Północnego i Wschodniego. Z północy ku południowi rozciągało się morze lodowate przez Syberję, i tworzyło może całość z morzami Kaspijskiem i Czarnem. Z badań zaś panów Desor i Eschera wynika, że wielka pustynia Sahara znajdowała się wówczas cała pod wodą i nie mogła przysyłać Europie przez Śródziemne morze gorącego Sirocco, powstającego z rozegrzanych warstw piasku*). Toż samo i w Ameryce północnej wszystkie wyniosłe płaszczyzny znajdowały się pod wodą, o czem przekonywują nas znajdujące się tam w ziemi małże, należące do gatunków dziś jeszcze żyjących.

W dawniejszym okresie potopu, zanim przyszło do zagłębienia wielkiego wyniosłych płaszczyzn europejskich, i zanim odzwierciadliły się na nich wody mórz Północnego i Wschodniego, kraje te podnosiły się wysoko po nad morzami. Wyniosłość ich przynajmniej była o tyle wysterczającą, że nie tylko przesmyk Kaletański, ale i wielka część morza Północnego i Wschodniego były suchemi dolinami. Dotychczas nawet głębokość tych części mórz nie sięga w dół więcej nad 200 a najniżej 250, tak, że mówiąc językiem geologów, dostatecznemby było nieznaczne wzniesienie się ziemi do osuszenia tych płytkich łożysk morskich.

Podówczas więc połączona była Irlandja z Wielką Brytanją, a ta znowuż przez Francję ze stałym lądem. Tak samo łączyła się wówczas Afryka z Europą stałemi przesmykami lądów ni to mostami, jak np. przez Gibraltar, Maltę i Sycylję. Dowodzą zaś tego znajdujące się nie rzadko na tych wyspach i w całej południowej Europie ssące zwierzęta afrykańskie, szczególniej wiele gatunków słonia. Morze Śródziemne było ogromnym obszarem nie wody jednostajnej, ale świeciło zwierciadłami mnóstwem mniejszych jezior. W owym okresie potopowym zamieszkiwał już człowiek prawdopodobnie tę półkulę, i mógł swobodnie, pieszo odbywać podróż do Afryki i napowrót. Był on zatem świadkiem zupełnie odmiennego podziału lądów i mórz w Europie i po za nią, i był świadkiem powolnego wznoszenia się i zagłębiania krajów całych i wysp. A odbywało się to niezawodnie w ciągu wielu tysięcy lat, i stanowi o jeden dowód więcej o poważnej starości naszego rodzaju.

Będziemy oczywiście zniewoleni przypisać tym powolnym wprawdzie, ale w ciągu wieków olbrzymim zmianom powierzchni ziemi, także i zmiany klimatyczne, zaszłe nietylko w pojedyńczych krajach, ale w całych strefach. Wnioski te zastosujemy także, choć bez naciągania, i do objaśnień o czasie lodowym, który jest głównym przedmiotem naszego badania. A choćbyśmy nie przypisywali wielkiego wpływu wspomnianym już działaniom astronomicznym, to moglibyśmy postawić *a priori* istnienie drugiego, ba i trzeciego nawet okresu lodowców, oparłszy się jedynie na dowodach dość licznych, znalezionych przez geologów w pokładach odnośnych.

Główne zarysy ziemi i krajów europejskich były bez wątpienia jeszcze za czasów potopowych podobne do dzisiejszego podziału. Wszystkie znaczniejsze zarysy gór większych istniały już, jak Jura, Wogezy, Las czarny, Pireneje i Alpy, górzystości Niemiec itp. tylko były one o wiele wyższe niż dzisiaj, ponieważ wskutek próchnienia i zwietrzenia stożki kruszą się i płaszczeją. Co ubyło szczytom, zapełnia obecnie jako muł piaskowy i pokłady rumowisk doliny i równiny płaszczyzn wyniosłych.

Okres Mamuta.

Zanim poczniemy badać człowieka, zwróćmy się wprzód do przejrzenia szczątków zwierząt pogrzebanych w pokładach potopowych rumowisk i gliny. Jedynego tego towarzysza pierwotnego ludzi niepodobna pominąć.

Glinka, zwykła glinka, nie sformowana jeszcze ostatecznie, żółtawa, przemięszana z piaskiem, zawiera mnóstwo drobnych mieszkanek ślimaków. Są to same ślimaczki lądowe, znajdujące się po większej części na wyniosłych wzgórzach.

W pokładach kwarcowych, czyli rumowiskach potopu, które wypełniają płaszczyzny europejskie, rzadkie są bardzo ślady szczątków zwierzęcych i roślinnych. I nic w tem dziwnego, gdyż lekkie te wierzchnie pokłady wystawione są nieustannie na działanie wody i powietrza, i w skutek tego szczątki organiczne ulegają szybko rozkładowi. A jednak i w tych rumowiskach potopu znajdowano w wielu miejscach w Niemczech, Francji, Belgji, Anglji, we Włoszech, Szwajcarji i t. d. pojedyńcze kości i zęby zwierząt ssących. A znalezione te szczątki pochodzą jak się pokazało z gatunków zwierząt dawno zatraconych. Niektóre ich pokrewne rodzaje żyją obecnie jeszcze w gorących strefach Azji i Afryki, a po części w północnych strefach Ameryki i Europy, lub w Alpach i Pirenejach. Całe szkielety tych wymarłych gatunków znaleziono z owych okresów w pieczarach zamulonych, i to po większej części tylko w takich pieczarach. Do bardziej znanych należą skaliste pieczary w Jura, tudzież w Szwabji i skały Gailenreuther, w których znaleziono szczątki ssaków potopowych w wielkiej ilości.

Pierwszorzędne miejsce w tym pokładzie

*) Ta zresztą tak przekonywująca hipoteza była użytą do tłumaczenia, jakim sposobem ociepla się powietrze do tego stopnia, że urywa lodowce alpejskie, ale w ostatnich latach Dove zaprzeczył temu, by wędrówki tych lodowców były spowodowywane owym gorącym podmuchem. Dowiedziono bowiem, że podnoszące się z Sahary gorące warstwy powietrza, nie muskają już wcale zachodniej Europy, ale dosięgnąć by mogły dopiero Rossji południowej.

zajmuje Słoń-mamut (Elephas primigenius) z którego ogromne zęby szczękowe i do przeżuwania napotykamy nie rzadko podczas kopania fundamentów pod kamienice, lub też w łożyskach rzek. Jestto ten sam gatunek mamuta, którego niejednokrotnie odkryto już szczątki, a w ostatnich latach całego ze skórą, zamarzłego w lodzie lub ziemi Sybirskiej. Miał on sierść długą, koloru czerwonawo kasztanowatego, i miał do tego dużą grzywę. Szkoda tylko, że ten niedawno odszukany mamut stał się po większej części łupem drapieżnych zwierząt, i to zanim wysłany na miejsce przyrodnik, magister Schmidt, dojechał ażeby przedsięwziąć badanie.

Middendorf oblicza, że drapieżne zwierzęta pożarły i rozniosły do tysiąca ciał mamutów, odkrytych w rzekach sybirskich lub odgrzebanych tamże w rumowiskach. Dobrze zakonserwowane ich zęby 8 do 10 stóp długie tworzą w Syberji całe wzgórza i są podobnie jak kość słoniowa, teraz jeszcze, ważnym przedmiotem handlu. Słoń mamutowy bywał według dokładnych badań Brandta, większy jeszcze nieco od dzisiejszego słonia wschodnich Indyj, którego zęby zresztą nie są tak silnie zakrzywione.

W jednym rzędzie z mamutem musimy wymienić Nosorożca dwurożnego. Cały korpus tego zwierzęcia znaleziono przed 20 blisko laty doskonale przechowany, pokryty szerścią w Sybirskich lodach. Nos jego uzbrojony dwoma rogami, a nozdrze rozdzielone kością (Rhin. tichorhinus); kości zaś i zęby jego napotykają się często.

Niemniej liczne szczątki, jak powyższych zwierząt, napotyka się w rumowiskach potopowych resztki niedźwiedzia skalnego (Ursus spelaeus), który dorównywał prawie wzrostem niedźwiedzia lodów na północy. Przytoczyć tu również wypada znajdowanego w oparzyskach torfowych Irlandji olbrzymiego jelenia (Cervus megaceros albo Megaceros hibernicus), którego wielkie 10 do 12 stóp dochodzące rogi były może przyczyną zatraty gatunku, gdyż stawały się przeszkodą. Do tegoż okresu należy równie bawoł olbrzymi (Bos primigenius), którego poczytują za protoplastę dzisiejszego bydła rogatego, a który żył jeszcze za czasów Cezara w dzikim stanie w puszczach lesistych Niemiec. O wiele rzadszym jest koń rzeczny, którego resztki znajdują się niekiedy w południowej Francji i Włoszech, a który należy do gatunku żyjącego obecnie jeszcze w tropikowej strefie Afryki.

Liczne też są ślady szczątków tygrysa skalnego, czyli skalnego lwa (Felis spelaca *) i hyeny skalnej (Hyaena spelaca). Ale i tych gatunków znaleziono wiele szczątków w naszych już czasach. (C. d. n.)

*) Według ścisłych badań i porównań, Felis spelaca bliższy jest rodzinie tygrysa niż lwa.

UCZONY.

(*Dokończenie.*)

Ja teraz żądam tylko chleba — chleba!
Głodnym, głód straszny do snu mię koleba.
Wnętrzności wiją mi się jako żmije,
Zimno mi — lód mię ciśnie — tu za szyję
Chce mię zadusić stalowem ramieniem! — Okropnie!
Przeklęty! — Żył zagięcia wziął sobie za stopnie
I wczołgał się od stóp aż w głowę... Po co zwlekać?
Koniec — Położę głowę — będę cicho czekać.
Aż przyjdzie... przyjdzie prędko — czuję w łonie —
Za kilka chwil nadejdzie — upragniona —
Lekko położy kościste ramiona
Na sercu — ogień i tak słabo płonie —
Zagasi w jednej chwili... Potem.. potem...
Co potem? — Czemum stanął na tem słowie?
To słowo uderzyło mię po sennej głowie
Jak młotem!
Potem? — potem?...

(po chwili)

Przyjdą siepacze — i bez łez, bez żalu,
Zaniosą martwe ciało do szpitalu,
Uczeni głupcy znając prawa swoje
Z nożami w ręku obok trupa siędą,
Rozbiją czaszkę, przetną mózgu słoje
I nożem w mózgu duszy szukać będą!
Potem jak ziarno na zoraną grzędę
Wrzucą mię w ziemię wraz z słomy okłotem —
Tam będzie cicho — spać będę, spać będę —
Lecz czy się zbudzę? — Co potem? — Co potem?
Nie wiem... Więc pocóż tajemnicza siła
Na świat mię z łona matki wyrzuciła?
Czyż ją prosiłem, by mi życie dała?
W głowie się mąci — mózg ogniami pała...
Nie — ja żyć muszę, — ja muszę mieć życie!
Choćby lat kilka... Nagrodzę sowicie,
Com przez lat tyle utracił...

(chce wstać z największem wysileniem)

Nie mogę!...

(Wchodzi stary człowiek, ale jeszcze dość czerstwy, w obdartym stroju przedmieszczanina, z torbą przewieszoną przez plecy.)

POGORZELEC

Choć grosz biednemu, mój panie łaskawy!

UCZONY (bezprzytomnie)

Ktoś ty jest taki?

POGORZELEC

Ubogi.

UCZONY

Ubogi?
Pewnie do wiedzy darłeś się i sławy
O! to straszniejsze niż wszystkie nałogi!
Z rospusty, pijaństwa — wyleczyć się można,
Ale wrzącego ducha? — rzecz to próżna!
Po co ci było zgłębiać takie rzeczy,
Których nie zgłębi nigdy duch człowieczy?
A dzisiaj — widzisz doszedłeś do czego!...

POGORZELEC (wzruszając ramionami)

Takżebym nie miał robić coś lepszego!

UCZONY

Jakto? I sądzisz, żeś jest nieszczęśliwy?

POGORZELEC

O! bardzo, panie! — Spalił się dobytek,
Zmarła mi żona, a los jakiś krzywy
Niedobre dzieci mi dał; — na dobitek
Bóg mię obarczył okropną chorobą,
Dziś ja w swem ciele nie czuję się sobą!

UCZONY

Aleś był szczęśliw! — Miałeś żonę tkliwą,
Cichą zagrodę, dziatwę szczebiotliwą...
Życie im dałeś, lecz po pracy dziennej
Miałeś gdzie głowę złożyć w spokój senny,
I dziś nie jesteś samotnym na świecie,
Bo miałeś przeszłość, masz wspomnienia przecie,
Które ci złocą dzień nieszczęścia słotny...
Jam bardziej nędzny, niż ty i samotny!...

POGORZELEC

Czemu?

UCZONY

Nie pytaj!

POGORZELEC (rozgląda się po izbie)

Widzę tu ksiąg tyle,
Tyle pisanin... Znam powód twej troski;
Pewnieś czartowskiej chciał się oddać sile,
A za to ciężko karze wyrok boski!
Z złym duchem nigdy zaczynać nie trzeba!
Bądź zdrów, mój panie, bo z nieczystej dłoni
Nie wziąłbym grosza, ni kawałek chleba.

UCZONY

Stój!... (do siebie) Nawet żebrak dziś odemnie stroni!
Nie odchodź, błagam! Ja nigdy nie miałem
Z szatanem sprawy — jam chciał prawdę zbadać
Ja chciałem światu nowe kształty nadać
Stworzyć raj wielki na ziemi...

POGORZELEC

Mój panie!
Czyliż tajemnic Stwórcy dociekanie
Zbuduje szczęście? — Popatrz się po świecie,
Jak straszna nędza pół ludzkości gniecie!
Spojrzyj i zapłacz, jak ludzie są biedni!
Za ciężką pracę, suchy chleb powszedni
Zaledwie mają — po pracy i znoju
Nie mają głowy gdzie złożyć w spokoju,
Brudny im barłog służy za posłanie
Oto część większa ludzkości mój panie!
Ciemni i biedni, we łzach i niedoli,
Ciągną wóz życia ciężarny powoli —
Juczne zwierzęta! — Gdy który ustaje,
Nędza mu chłostą nowych sił dodaje—
Naprzód! — Żyj! — Pracuj! — A z szczodroty nieba
Zyskasz w nagrodę kęs suchego chleba,
Będziesz mógł wzmocnić nadwątlone siły
I wlec się dalej, jak wpierw do mogiły!...
Patrz! — Ludzkość cierpi! — Bogaci mocarze
Od bladej nędzy odwracają twarze,
Zamiast ich podnieść, spieczonemi usty
Plwają w nich jadem wzgardy i rozpusty,
A ci w pokorze, głodni, nadzy, ciemni,
Do stóp ich niby robacy podziemni
Pełzają prace im oddając twarde,
By kawał chleba uzyskać — i wzgardę!...
Tych nagich odziać, nakarmić zgłodniałych,
Ciemnych oświecić, pocieszyć zwątpiałych,
Wszystkich nauczyć, że są ludźmi przecie,
Miłości słońce zapalić na świecie,
Niech ono zniszczy samolubstwa lody,
Niech ono równo blaskiem wszystkim świeci,
Wtedy na ziemię szczęścia anioł zleci,
Zaświta szczęścia jutrznia i swobody,
Bóg zstąpi z nieba i wszystkie narody
Do swego łona przytuli jak dzieci!...
O! Gdyby każdy równy tobie panie,
Zamiast się bawić w nadziemskie latanie,
Jednego wyrwał nędzy i sromocie,
Gdyby choć jedną łzę otarł sierocie,
Której noc losu nie znała świtania,
Gdyby jednego nakarmił nędzarza,
Co u bogaczów wrót w prochu się tarza,
I nie ma jednej łzy w chwili konania,
Gdyby z was każdy wzniósł cnoty pochodnię
W podziemi nędzy, kędy się wśród cienia,
Legną potwory występku i zbrodnie,
Bezwiędnie — bez odrazy i wzruszenia
I noc rozjaśnił promieńmi złotemi
Pewnie dziś lepiej byłoby na ziemi!..

UCZONY

Ten żebrak nędzny jak anioł się zjawił,
Ten człowiek prosty prawdę mi objawił!...
Tak — to jest droga, którą iść należy...
Ach! Z sił opadam!

POGORZELEC

Panie mój! Co tobie?
Zbladłeś, jak gdybyś był w strasznej chorobie
Drzysz — włos ci dębem na głowie się jeży,
Oko mgłą zaszło...

UCZONY

Nic mi!

POGORZELEC

Przez Bóg żywy!
Upadasz!

UCZONY (z ostatnim wysiłkiem)

Jeść mi się chce!...

POGORZELEC

Nieszczęśliwy!
Mam kawał chleba w mej torbie żebraczej —
Jedz!

UCZONY

Nie! — Nie mogę przyjąć... O rozpaczy!
By głód uciszyć po latach mozoły

Obdzierać miałbym żebraka z jałmużny?!...
Idź! — Daj mi skonać!

POGORZELEC.

O biedny i próżny!
Tobie do życia iść należy szkoły!
Płaczesz za marzeń swych rozbitych cackiem,
Za marą wiedzy, za którą omackiem
Błądziłeś, biedny, a w twych płaczów nucie
Jedno się tylko odzywa uczucie:
Twa miłość własna! Skonać chcesz? Ja wierzę.
Lecz przebacz, powód objawię ci szczerze:
Chcesz skonać, aby kiedyś późne pokolenia
Brzmiały zdgłosem twojego imienia.
Aby po wiekach ludzkość wspominała,
Że w tobie syna najlepszego miała...
I toż ma ludzkość zbawić twa nauka?
Umrzeć nie sztuka, lecz żyć dobrze sztuka!
Chodź na świat boży! Tam życie i słońce,
Tam znajdziesz ulgę po marzeń utracie,
Tam na twą pomoc czekają tysiące —
Twe życie do nich należy!

UCZONY (ze łzą w oku schyla się w jego objęcia)
Mój bracie!

B. Czerwieński.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Ażeby nie przeszkadzać panom w ich zwierzeniach się wzajemnych, ani też pani Zameckiej w delikatnej misji, której się podjęła, zrobimy tak jak pan Tadeusz, udamy się na plebanię.

Pan Zamecki posiadał rozległe lasy, obfitujące w budulec, i od dłuższego czasu zamierzał stawiać tartak parowy, w celu powiększenia intraty ze swoich majątków. Zamiar ten nacechowany materjalistyczną dążnością wieku dojrzał już był o tyle, że p. Zamecki nie tylko był w posiadaniu planów i kosztorysów, które sam przejrzał, sprawdził i poprawił, nietylko wyznaczył był miejsce na budowę, ale już nawet maszyny zamówione były w fabryce, gdy nagle nienasycona zapewne chęć zysku podyktowała zwolennikowi pozytywizmu myśl oddania wszystkich papierów, rysunków i rachunków p. Wacławowi Rolińskiemu, z prośbą, ażeby to wszystko przejrzał, zbadał, i poczynił swoje uwagi. Dzięki temu pochlebnemu zleceniu, Wacław pozbył się niemiłego uczucia, że przyjechał na wieś próżnować; uczucia, które go trapiło na równi prawie z ową boleścią serdeczną, znaną już czytelnikom tej powieści. Przez czas pobytu p. Zameckiego w mieście, wertował on zawzięcie papiery, które mu poruczono. Nieraz zimny pot występował mu na czoło, gdy z rachunku wynikało, że procenta od wkładu w tartak, doliczone do kosztów utrzymania go w ruchu, wyniosą o wiele więcej, niżli zysk otrzymany z różnicy między wartością surowego materjału, a ceną uzyskanych za pomocą pary wyrobów. Wówczas nieszczęśliwy teoretyk odkładał pióro, lub ołówek, i w tej samej chwili wzrok jego padał na paczkę drewnianą, ukrytą w kącie, i serce ściskało mu się gwałtownie. Wstawał — oglądał się, czy nie ma kogo w pobliżu, odejmował denko od paczki i trzymając je w ręku, przypatrywał się ukrytemu w tym prozaicznym schowku skarbowi. Skarb składał się z ramy, ze szkła, i z kontrabandu fotograficznego, odkrytego przez p. Skryptowicza, jakoteż z rysunku niewprawną ręką uczennicy skreślonego, którego historję także już znamy. Wacław dumał w tej pozycji, dumał wiecznie jednę i tę samą tęskną dumkę, jak przystało smętnemu Ukraińcowi. Potem przypominał sobie, co pani Zamecka mówiła o ludziach, którzy zubożeli, a zachowali jakiś mały zabytek z lepszych czasów, i wydobywają go niekiedy z ukrycia, by żyć wspomnieniami, które on wywołuje... Wtem dawał się słyszeć jakiś ruch na plebanji, Wacław zamykał troskliwie paczkę i wracał do stolika, usiłując myśleć o rachunkach p. Zameckiego a myśląc o tem, że jego żona zdaje się być nader rozumną kobietą, i kobietą z sercem. Z rachunku wypadało, że koszta tartaku byłyby niczem, gdyby w nim można przerabiać na tarcice, na parkiety i na futryny przynajmniej połowę tego drzewa, które rośnie w Karpatach— a z rozmyślań wypadało, że pani Zamecka musi coś wiedzieć o strapieniach naszego bohatera, bo zrobiła była parę zbyt wyraźnych alluzyj. Zapewne Skryptowicz napisał jej coś, albo powiedział. Jeżeli ta kobieta ma serce, nie powinnaby żartować z uczuć chudego pachołka. Kto wie, może i nie żartowała? Wszak natychmiast przerwała rozmowę, gdy spostrzegła, że dotknęła go boleśnie. I Skryptowicz także wydaje się lepszym człowiekiem w gruncie, niżliby na oko sądzić można. Wszak mówił tak szczerze, gdy wspominał o tem, że jego córki i Helenka zasmucone były nagłym wyjazdem pana Wacława, i że go kazały pozdrowić! Kto wie? Ale... tfu! precz z takiemi myślami. Co innego, gdyby panna Grodecka była ubogą dziewczyną. Wówczas, Wacław przystąpiłby do niej śmiało, i prosiłby ją o trochę serca w zamian za swoje całe. Ale tak jak rzeczy stoją, nie uwierzyłaby mu, że ią kocha. Mogłaby go wyśmiać, wszyscy wyśmialiby go, bez wątpienia, i mieliby słuszność. Teraz — bodaj czy nie litują się nad nim tylko, tą pańską, uśmiechniętą litością, taką nieznośną!...... Maszyna o sile trzydziestu koni spotrzebuje dziennie paliwa.... Nie, nie podobna zebrać myśli, przejdźmy się trochę...

Tak było zaraz pierwszego dnia, gdy p. Tadeusz z p. Karolem pojechali do miasta, a pani Zamecka, ażeby nie mitrężyć Dubyny, który zrobił był cztery mile konno, sama jedna wyjechała na spacer na swojej Zulejce. Wacław spotkał ją, gdy wracała. Widział ją zdaleka, gdy wyjeżdżała z lasu. Towarzyszył jej p. Zgorzelski na swoim sławnym kasztanku, tak słynnym ze skoków przez rowy i płoty. Jechali jakiś czas razem, a następnie p. Alfred podał coś pani Zameckiej, zwrócił konia i puścił się czwałem w stronę, z której przyjechali. Zapewne zgubił coś w lesie, może szpirut, i znalazłszy go, miał wrócić, bo odjeżdżając, nie uchylił nawet kapelusza, nie zrobił żadnego giestu, któryby oznaczać mógł pożegnanie. Pani Zamecka tymczasem pędem zbliżała się do zamku. W ręku miała jakiś papier, złożony w większym formacie, niż zwykłe listy albo papiery prywatne. Pomimo gorąca i szybkiego ruchu konia, była dziwnie bladą. Wacław podniósł rękę do kapelusza, ażeby jej się ukłonić. W tej chwili osadziła Zulejkę i uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

— Bardzo to niegrzecznie z pańskiej strony, panie Roliński, że pana chyba można spotkać w polu, na samotnej przechadzce. Widzisz pan, musiałam wyjechać sama, bo nie miałam towarzystwa.

— Sądziłem... że p. Zgorzelski towarzyszył pani.

— A, p. Zgorzelski! Spotkałam go w lesie, koło karczemki, wracał z wizyty u państwa Rozumowskich i towarzyszył mi kawałek drogi, ale jak pan widzisz, wrócił do Kruchówki, bo jeszcze dziś wieczór odjeżdża do miasta. Obiecał wstąpić na herbatę do Rymiszowa.

Ani tartak parowy p. Zameckiego, ani panna Helena Grodecka nie przeszkodziły Wacławowi zrobić uwagi, że jak na wizytę u państwa hrabstwa Rozumowskich, p. Alfred wybrał się w sposób dość niezwykły. Wacław spostrzegł był między innemi dokładnie, że p. Alfred miał na sobie strój myśliwski z wysokiemi butami, i wiedział przytem, że nie łączyła go z domem hrabstwa zażyłość, któraby usprawiedliwiała takie *sans-façon* kawalerskie. Wacław pamiętał oprócz tego, że odjeżdzając Zgorzelski, nie ukłonił się p. Zameckiej, a przed odjazdem wręczył jej ten papier, który miała w ręku. Wszystko to razem zastanowiło nieco naszego młodego człowieka, ale pomyślał sobie, że go to nic nie obchodzi, a zresztą, pani Zamecka przerwała jego refleksje, których, ma się rozumieć, nie czynił głośno.

— Niech-no pan potrzyma trochę Zulejkę, zsiądę, bo gorąco jest nieznośne. Poznasz pan zaraz jeszcze jednę cnotę tego poczciwego stworzenia — pójdzie za mną spokojnie, jak pies, i stanie kiedy jej każę.

Wacław pomógł pani Helenie zsiąść, uwiązać cugle do siodła, i podsunąć strzemię na pulisku, poczem Zulejka puszczona wolno, w istocie szła krok w krok za swoją panią, usprawiedliwiając położone w niej zaufanie. Wacławowi nie wypadało nic innego, jak tylko towarzyszyć pani Zameckiej w jej powrocie do zamku, i z nader melancholiczną miną przystąpił do tego aktu grzeczności. Rozmowa wszczęła się z natury rzeczy o nudach wiejskich, które pani Zamecka znajdowała okropnemi, po wyjeździe męża.

— Wyobraź pan sobie, jedynem mojem towarzystwem jest zakochana panna. Czy pan uważałeś, że nie ma nic nudniejszego nad ludzi zakochanych?... Jakże?

Wacław namyślał się, czy ma brać to zapytanie jako przytyk do siebie, czy jako rzecz powiedzianą „akademicznie?“ Wypadało wszakże odpowiedzieć, i odpowiedział:

— Nie pani, nie uważałem tego.

— Widocznie, nie miałeś pan sposobności uważać. A własne swoje towarzystwo, gdy się jest zakochanym, jak się panu podoba?

Tym razem, zamiast odpowiedzi, młodzian nasz potrafił tylko zarumienić się po uszy. Na uniewinnienie jego przytaczam, że miał lat zaledwie dwadzieścia kilka, że w szkołach więcej pracował, niż się bawił, i że z drugiej strony, nawet do najbardziej „akademicznej“ rozmowy o miłości, prowadzonej w alei lipowej z piękną kobietą, bez innych świadków, oprócz Zulejki, potrzebaby raczej jednego z tych młodych lub starych kawalerów, jakich próżniactwo wychowuje w szkole świata, i jednej z tych głów, w których nie ma nic oprócz reminiscencyj z „Wielkiej księżnej Gerolstein“ i „Pięknej Heleny,“ nie zaś wychowanka ks. Chyżyckiego. Wacław zarumienił się, bo nie był dość wprawnym w szermierce, na której polegają konwersacje tego rodzaju, a nie dość znowu naiwnym, by nie czuł braku tej wprawy. W zakłopotaniu, gdy p. Zamecka wpatrywała się w niego ciekawie, na pół bawiąc się jego miną, a na pół niby z jakimś życzliwym, macierzyńskim wyrazem twarzy, bohater nasz postanowił wyrąbać się krzyżową sztuką, i wygłosił

następujący, już dla swojej nowości pomnikowy frazes:

— Gdy się jest zakochanym, jest się... jest się — nieszczęśliwym!

— Nieszczęśliwym! zawtórowała pani Helena tak miękko, że w głosie jej nie było ani trochę tego śmiechu, którym — wszak wolno użyć śmiałej nieco przenośni, jeżeli kto nie ma na sumieniu ani jednego wiersza, umieszczonego w *Prądzie Literackim?* — tego śmiechu więc, którym parsknęła w duszy. — Nieszczęśliwym! rzekła, i stanąwszy, wzięła Wacława za rękę, podczas gdy Zulejka stanęła także, i wsunęła swoją głowę między rozmawiających, jak gdyby ich podsłuchać chciała.— Pan czujesz się nieszczęśliwym, panie.... Wacławie?

Było to najcienistsze miejsce w całej alei, a pani Zamecka nawet w dobrem oświetleniu była łudząco podobną do panny Grodeckiej, mimo całej różnicy wieku. Wacław znalazł się jakby pod wpływem jakiej halucynacji; — ten łagodny głos, te czarny oczy, te rysy twarzy znajome i obóstwiane, wewnętrzne jego wzruszenie nakoniec, wszystko to złożyło się na taką chwilę złotego widzenia, jaką się miewa chyba we śnie i jakąby się później nadaremnie przyzwać, odtworzyć chciało. Dosyć, że omal nie padł na kolana, omal nie przecisnął do serca ręki, która jego dłoń w uścisku trzymała. Na szczęście, Zulejka zbliżyła w tym momencie swoje nozdrze do tej ręki, bo przyzwyczajoną była otrzymywać z niej cukier. Wacław ocknął się i zarumienił się po raz drugi.

— Nie powinno się być nieszczęśliwym, — mówiła pani Helena, — gdy się jest tak młodym i gdy się posiada wszystkie warunki, potrzebne do szczęścia. Pan bierzesz miłość ze strony tragicznej, ponurej, a tymczasem, jest to uczucie, które powinno być tylko roskoszą i weselem. Nie należy skazywać się na męczarnie dobrowolne, i zamykać się w sobie, jak w pustelni, jeżeli się ma otwarty świat przed sobą. To moje zdanie, panie... Wacławie, ale może ja jestem kobietą nie zastanawiającą się głębiej, światową. Słuchaj-że pan, co mówi poeta:

„A wierzchem życia, pluśniem wesoło!"

Wacław słuchał tego wykładu praktycznej filozofji, w wielkiem roztargnieniu, podczas gdy pani Helena puściła była jego rękę i gdy oboje zbliżali się do bramy zamkowej. Nie odpowiadał ani słowa, i nie mógł zebrać myśli. Panna Wanda wyszła naprzeciw nich, i bohater nasz pożegnał się, przyrzekłszy poprzednio na uprzejme zaproszenie pani Zameckiej, przyjść na herbatę do zamku. Gdy wrócił na probostwo i znalazł się w swoim pokoju, począł rozmyślać nad tem spotkaniem, przypominał sobie wszystkie szczegóły rozmowy i zakonkludował półgłosem:

— Czego ona chce odemnie?

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

II.

Demonstracje żołnierzy.

Nazajutrz wszystkie ręce zajęte były ładowaniem na okręt ciężarów i sekcji parostatka, ja oddzielając potrzebne nam ładunki projektowałem z siłą 100 ludzi pospiesznym marszem dostać się w okolicę Loboré, i tam zaciągnąwszy kilkuset tragarzy, przysłać ich z powrotem do okrętów po amunicję i reszte naszych towarów. Trzeba było tylko zająć się szczegółowym rozgatunkowaniem ładunków, co poszło dość prędko, miałem bowiem spis numerowany sporządzony przez p. Marcopolo, z dokładnem oznaczeniem przedmiotów zawartych w paczkach.

Wszystkie wozy były już wyładowane i 8. lutego Anglicy smutni i upadli na duchu zmuszeni byli powrócić do Gondokoro. Ja zaś ułożyłem sobie, że dwudziestu dwóch wioślarzy pójdzie z nami, niosąc nieodzownie potrzebne przedmioty, a potem wrócą z pięddziesięciu żołnierzami, którzy będą eskortować krajowych tragarzy do statków, gdzie major Abdullah miał rozporządzenie dalszych działań. Temu ostatniemu zostawiłem 120 ludzi z działem i artylerzystami, co z załogą pozostałych okrętów, dobrze uzbrojonych i wymustrowanych, stanowiło siłę 145 karabinów, mogącą się bezpiecznie obronić w razie jakiegokolwiek wypadku.

Przed opuszczeniem okrętów zająłem się jeszcze szczegółowem zabezpieczeniem pozycji. Blaszane paki kazałem ustawić w czworobok, dość obszerny na przyjęcie dwunastu ludzi, za którym, mogli się czuć bezpieczni jak za murami małego fortu. Okręty stojąc w linji pod brzegiem, były jednym końcem przyparte do wąwozu na trzydzieści kroków szerokiego, który dziś suchy, przynosi jednak w czasie deszczów znaczne wody do Nilu. Prostopadłe jego brzegi, miały dać na teraz bezpieczne schronienie dla stada, i o paręset kroków od rzeki, kazałem z palów i cierni zrobić w jego głębi przegrodzenie w rodzaju obornika. Tam bydło miało być na noc zaganiane, i pilnowane przez trzydziestu ludzi rozstawionych z dwóch stron wąwozu. Wąwóz ten, stykał się pod kątem prostym z rzeką, w ten sposób że załoga okrętów mogła razić nieprzyjaciół napadających obornik, a straż na brzegu rozstawiona wziąć z boku atakujących okręty. Działo ustawiłem na dominującej pozycji, w środkowej linji okrętów, w odległości dwudziestu kroków od rzeki, i kazałem przy sobie nabić kartaczami, z rozkazem, żeby co wieczór o zachodzie słońca była ustawiona do strzału na 200 łok., z wszelkiemi przyborami w pogotowiu, i przykryta rogożą dla ochrony od wieczornej mgły. Oficerom i ludziom zaleciłem przytem ostrożność i czujność, a majorowi Abdullah, kazałem czekać z okrętami dopokąd nieprzyślę tragarzy po pakunki, lub sam nie wrócę, w razie, gdybym nikogo nie mógł dostać.

III.

Droga do Loboré.

Po ukończeniu przygotowań, nad samym wieczorem, przybył do nas wysoki starzec, lat około siedemdziesięciu, którego po różnych zawieszonych czarach poznałem jako „władcę deszczów." Twarz jego była cała osmarowana popiołem, a postać czarna i koścista, dobrze przedstawiała uosobiony ideał djabła. Chciałem zaskarbić sobie łaski tego czarnoksiężnika, odwołując się przeto jednocześnie do jego roskoszy wewnętrznych i próżności zewnętrznej, dałem mu szklankę wina i długą koszulę niebieską.

Jest to bardzo korzystną rzeczą robić sobie przyjaciół „z władców deszczu," są oni bowiem uważani przez krajowców jako osoby duchowne, skutkiem czego bywają otaczane pewną czcią i poszanowaniem. Druga szklanka wina, a raczej flaszka blaszana, którą do dna wysączył, rozjaśniła blask jego zapadłych oczów, i wywołała uśmiech radości na usta. Twarz osmarowana zdawała się wyrażać prośbę: — „Jeszcze wina" — ale uważałem że miał go już dostatecznie, to jest właśnie tyle, ile potrzeba do rozwiązania języka.

Niechybny klucz serc ludzkich, utworzył niebawem między nami przyjazny stosunek i wszczęła się poufała rozmowa. Stary, nazwiskiem Lokko, oświadczył mi, że zna dobrze całą okolicę, niemniej jak drogę do Loboré, i chętnie nam będzie towarzyszył za wynagrodzeniem jednej krowy, a krajowcy widząc go z nami, będą dla nas grzeczni przez cześć jemu przynależną. Zapytałem go, czy w czasie podróży będzie odpędzał chmury, gdyż było by to wcale niewesołą rzeczą, jeźlibyśmy zmokli. W odpowiedzi na moje pytanie, zadął w swój róg deszczowy, który miał u szyi zawieszony, i spojrzał na mnie wzrokiem dającym do zrozumienia, że nie powinienem dłużej wątpić o mocy jego nad chmurami. Kazałem sobie wtenczas przynieść z kajuty niemiecki krowi róg, wyszlifowany i oprawny w żółtą blachę, który mógł kosztować szylinga, i podając go „władcy deszczów," prosiłem by przyjął ten dar odemnie. Stary Lokko, którego wino wprawiło teraz w stan wesołości i szczęścia, z rozradowanem sercem i przepełniony wdzięcznością na widok niezwykłego a tak pożądanego daru, wziął róg, zadął, i roskoszując się w jego głosie dął bezustannie, aż łzy mu się puściły z oczów, i oddech zaparł w piersi. Poczem, zawieszając swój cenny dar na szyi, zawołał w uniesieniu: „Ja jestem wielkim szejkiem, nie ma nademnie potężniejszego władcy deszczów! Ja was poprowadzę, a róg ten, odwróci z waszej drogi wszystkie chmury. Barysów nie obawiajcie się póki ja z wami, ale zbierajcie się tylko w podróż, jak możecie najprędzej."

Tym sposobem udało nam się pozyskać nieocenionego sprzymierzeńca i przewodnika, bo chociaż znałem położenie Loboré, musiałbym jednak przy pomocy kompasu szukać kierunku, co by wiele kosztowało zachodu; byłem więc ucieszony zdobywszy tak nieocenioną pomoc w starym władcy deszczów.

Nareszcie 8. lutego o 3. po południu, wyruszyliśmy wpodróż. Stary Lokko na czele prowadził cały zastęp, wywijając małemi ostruganemi pałeczkami przed występującą chmurą, która zdawała się naigrawać z jego potęgi nad deszczami. Zadął kilka razy w róg, robiąc przytem arcyśmieszne pantominy, ale te sprowadziły pożądany skutek; chmura przestraszona oddaliła się w innym kierunku, uciekając przed władcą deszczów, który świeżo wysmarowany popiołem, tak pięknie wyglądał, że postacią swoją mógł odstraszyć wszelkie zło stojące nam w drodze.

Moi ludzi, szli niosąc każdy swój ciężar; z początku Monsor starał się ułożyć wołu do dźwigania jego ładunku, próba jednakże nie powiodła się; wół zrzuciwszy ciężar, umknął, by więcej nie powrócić, a Monsor zbity z terminu, musiał rad nie rad pozbierać tłumoczki, zarzucając je na plecy. Żona moja jechała na „Gridy Grey" obwieszonym różnemi pakunkami, ja siedziałem na potężnym i szerokopiersistym kasztanie „Jamoos," porucznik Baker miał pod sobą lekką klacz pod każdym względem zasługującą

na miano „Gazelli,“ a pułkownik Abd-el-Kader jechał na starym, ale pięknym arabie, któregom nabył w Kairze, od konnego policjanta; oprócz tego szło dziesięć osłów, które niosły bagaże oficerów, trochę amunicji i mąki, a wioślarze dźwigali paczki. Ja jechałem z moją żoną i porucznikiem Baker na czele przedniej straży „Czterdziestu“; za nami postępowali pułkownik Abd-el-Kader i kapitan Mohamed Deii z tylną strażą, która zaganiała stado z 1.000 krów i 500 owiec, prowadzone przez naszego tłumacza Morgiana; służba szła razem z nami, dźwigając także pakunki. Na noc zatrzymywaliśmy się zwykle we wsiach najczęściej opuszczanych przez mieszkańców za naszem ukazaniem się, i tam przenocowawszy, za mąkę i inne znalezione i spożyte prowianty zostawiałem dwie krowy, chcąc tym sposobem ustalić zaufanie i roztworzyć sobie drogę na przyszłość.

Po trzydniowym marszu stanęliśmy we wsi zwanej Koojuk, w cieniu figowego drzewa (ficus Indica). Stary Lokko, znany dobrze przez mieszkańców, był gorąco witany i po zarekomendowaniu nas zostaliśmy również gościnnie przyjęci. Tam udało mi się nająć kilku tragarzy, i ulżeni w ciężarach wyruszyliśmy dalej w drogę. Coraz piękniejsze roztwierały się przed nami krajobrazy; góry wyniosłe z kamienistem podnóżem rozdzielały się, dozwalając częstym strumieniom płynąć u stóp swoich. Skały ponajwiększej części z gnejsu i syenitu, z grubemi pokładami jak śnieg białego kwarcu, wznosiły się wśród częstych grup drzew, okrytych świeżą zielonością, która dziwnie odbijała od żółtego koloru spalonej w tej porze trawy. Po pięciodniowej podróży przez urocze i zaludnione okolice, 12. lutego wyruszyliśmy o 5ej z rana, mając już tylko czternaście mil przed sobą do Loboré. Droga prowadziła prawie samym lasem, przerzynanym częstemi strumieniami, spadającemi z wysokiej na 2.000 stóp z góry Forke. Wyszedłszy na otwartą przestrzeń, ujrzeliśmy liczne zagrody w ładnym położeniu wśród pagórkowatej i drzewami ustrojonej okolicy; było to Loboré. Kazałem się zatrzymać całej przedniej straży w cieniu rozłożystych tamarynd, i zaczekać na resztę naszej siły i stada podążającego z tyłu. Mieszkańcy ujrzawszy nas, zebrali się zaraz, aby nas przyjaźnie powitać; nie są oni z plemienia Bari i byłem uszczęśliwiony, gdy minąwszy granice Muge, nie miałem już więcej z tamtymi do czynienia. Loboré jest oddzielnem plemieniem i posługuje się djalektem Madi. Szejk stary i na wpół ślepy, ten sam jeszcze, któregom poznał w czasie mojej pierwszej podróży, był bardzo uszczęśliwiony naszem przybyciem i przyrzekał robić wszelkie ułatwienia w sprowadzeniu pak i ładunków pozostałych z okrętami. Byłem również wielce ucieszony spotkawszy dawnego znajomego, Wani, mego sługę i dragomana z Kairu.

Zaraz na drugi dzień mieszkańcy Loboré wybrali sobie 396 krów z mojego stada, poczem tyluż ludzi w towarzystwie żołnierzy i powracających wioślarzy wyruszyło w drogę. My tymczasem mogliśmy zająć się polowaniem, zanim powróci oddział nasz z pakunkami. Zwierzyna była dość rzadka w tych stronach; udało nam się jednak ubić dwie antylopy (Antylope Bubalis.) To powodzenie zachęciło mieszkańców do przyłączenia się w naszych wycieczkach, i na drugi dzień wyruszyła ogromna liczba krajowców, rozrzucając się w długą linję w oddaleniu kilkunastu kroków jeden od drugiego. Małe chłopcy z łukami w pogotowiu i zapasem strzał przewieszonych na rzemieniu brali udział w tej wielkiej wyprawie, która jednakże nie przyniosła żadnej korzyści. Zwierzyna wystraszona schroniła się w dalsze lasy, a my po długim i nużącym spacerze, wróciliśmy do obozu, nie wystrzeliwszy jednego naboju. W czasie tej wędrówki napotkałem tylko szczególny kwiat, wydobywający się z rodzaju łuski, wyrastającej z ziemi bez liści. Łuska ta rozpęknięta wydaje wielką ilość kulek jedwabnych, ścisłych i bardzo pięknych, z których połowa nie mogłaby się napowrót schować do łuski, która je wydała.

Po tak niefortunnej wyprawie, wybrałem się na drugi dzień, ale już sam tylko, z porucznikiem Baker, i kilku krajowcami, którzy mieli nam drogę wskazywać. Przechodząc naprzemian wzgórza, ułamki lasu i szerokie wąwozy zarosłe bambusem, stanęliśmy u podnóża góry Forke. Po kilkomilowej drodze nie ujrzeliśmy żadnej zwierzyny, dopiero wszedłszy na wyniosłe miejsce, gdzie las z rzadka rozrzucony nastręczał rozleglejszy widok, postrzegliśmy całe stado antylop, pasących się po różnych wzgórzach, gdzie z pomiędzy sterczących skał, wyrastała w zagłębieniach ogromnej wysokości trawa. Porucznik Baker obszedłszy górę na prawo, puścił się naprzód idąc ostrożnie pod osłoną drzew, a ja tymczasem czołgając się przez sam szczyt, chciałem zejść antylopy na łączce, która las przerzynała. Doszedłszy do stóp pagórka, nie wyższego nad siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt stóp, zacząłem ostrożnie drapać się przez olbrzymie odłamy granitowe, starając się najmniejszego nie sprawić szelestu. Dopiero u samego szczytu, zakryty wysterczającą skałą po nad płaski grzbiet góry, wychyliłem ostrożnie głowę szukając wzrokiem stada, ale napróżno rozglądałem się na wszystkie strony, ani jednej nie było już antylopy. Śliczny tylko roztaczał się obraz wspaniałego parku, wśród którego odłamy granitu wyglądały jak rozrzucone przez czas mury starożytnych zamków; grunt cały zasłany był młodą na 6 cali trawą, która wyrastała świeżą zielonością na spopielonych szczątkach zeszłorocznej, i swą barwą stroiła podnóża szarych głazów. Zwierzyny jednak dojrzeć nie mogłem; dopiero obróciwszy się na lewo, spostrzegłem krajowców, którzy znakami starali się zwrócić moją uwagę w stronę gęstych zarośli; niebawem też wychylając się z pod liści, ukazała się cała familja dzików, która spokojnie, obrywając wierzchołki trawy, zbliżała się przez łąkę na wprost mego stanowiska. Strzałami z obu luf, ubiłem dwa warchlaki, i szybko włożywszy naboje, zmierzyłem się do olbrzymiego odyńca, który o jakie dwadzieścia kroków galopem zdążał w krzaki; za danym strzałem przewrócił się, lecz szybko zrywając się na nogi, dalej podążył. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXXV.

Barbarzyństwo zachodnie, przezwane cywilizacją nowoczesną, według jednomyślnego wyroku filozofów północno-orjentalnych spróchniałe jest oddawna i potrzebuje odrodzenia za pomocą grecko-cerkiewnego alfabetu i kalendarza starego stylu. Jawną jest rzeczą, że człowiek nie używający znaku: **p** na oznaczenie brzmienia **r** i w rachubie czasu uwzględniający ruch ciał niebieskich z pedantyzmem troszczącym się o każdą minutę i sekundę, niezdolnym jest wskazać ludzkości nowe cele i drogi, ani też przyczynić się do jej rozwoju duchowego. Wielka ta prawda znalazła uznanie w ściślejszej ojczyźnie *knyszów**) w miejscu gdzie Łukiew wpada do Dniestru, i dano jej wyraz, zgromadzając w celach regenerowania Europy i Ameryki, wszystkich reprezentantów cywilizacyjnego żywiołu wschodnio-europejskiego, w liczbie 300, pomiędzy którymi, połowa umiała nietylko czytać i pisać, ale nawet odprawiać mszę św. podczas gdy druga połowa składała się z dorosłych synów ludu, wychowanych w pierwotnej patrjarchalnej prostocie i pożądliwości lasów, pastwisk, rzemieni, żelaza itp.

Halicz nie doznał podobnego wzruszenia od lat siedmiuset, tj. od czasu owej wojny z Lachami o popadję Nastkę, której historja oddawna powinna była jakiemu pisarzowi dramatycznemu posłużyć za przedmiot do tragedji, bo tak, jak ją opowiadają kroniki, jest już gotowym dramatem. Książe halicki Jarosław był możnym panem — pieśń o wyprawie Igora na Połowców powiada o nim, że „zawarł Dunajowi wrota, i podparł góry węgierskie żelaznemi pułki.“ Zajęty atoli zamykaniem wrot Dunajowi, i podpieraniem gór węgierskich, zapomniał książę zamknąć wrota własnym namiętnościom, i wskutek tego nie mógł oprzeć się wdziękom niejakiej Anastazji, według kronik, żony, według lepszego mojego przekonania, córki jednego z *prychodnyków* tej ziemi. W istocie, w interesie moralności, już i bez tego srodze podeptanej tym epizodem, mam nadzieję, iż krytyka wykaże, jako nie zaszło tu podwójne *adulterium*, i jako pomieniona Anastazja, *vulgo* Nastka, była panną, a przynajmniej wdową. Bądź co bądź, niewiasta ta owładnęła księcia zupełnie, a za jej pośrednictwem ród bojarzynów, zwanych Czarhowymi, gospodarował w kraju tak, jak obecnie radaby gospodarować w nim partja zwaną podolską; a nie było jeszcze ani Ziemiałkowskiego, ani *Dziennika Polskiego*, ani *Ojczyzny*, ani hr. Stanisława Tarnowskiego, ażeby stawili opór temu gospodarstwu. Rolę opozycji przeciw księciu objęła tedy *sa légitime*, kniahyni Olga, gdy jednak ani łagodne przedstawienia, ani łzy, ani spazmy nie pomogły, rozżalona *magnifika* udała się do Krakowa, zabrawszy z sobą poczet wiernych, garderobę, i — jak się spodziewam — także i spowiednika. W Krakowie nie panował jeszcze p. delegat i radca dworu Bobowski, ale król Kazimierz II, monarcha równie sprawiedliwy w polityce jak przykładny w życiu domowem. Ten dowiedziawszy się o sprawkach swego kuzyna, i nie czekając, co na to poradzi pan Koźmian w *Przeglądzie Polskim*, ani też jakie zapatrywanie *Czas* objawi w tej mierze, ruszył z wojskiem pod Halicz i zmusił księcia Jarosława do kapitulacji. Książę zobowiązał się wypełniać na przyszłość to przykazanie boskie, którego numeru figlarz Byron przypomnieć sobie nie mógł, gdy pisał *Don Juana*— kniahynię wprowadzono uroczyście napowrót w posiadanie serca mężowskiego — a Nastkę oddano sądom duchownym, które uchwaliły, iż jedynie za pomocą czarów djabelskich mogła opętać księcia, i kazały ją przeto spalić na stosie, jak gdyby była moją „Pogadanką,“ a sędziowie należeli do składu redakcji *Gazety Narodowej*.

Historji tej nie opowiedziałem bynajmniej, ażeby się pochwalić, żem zgłębił Zubrzyckiego dzieje księstwa halickiego, ale z powodu, iż jak sądzę, powtórzyła się pierwsza jej połowa tem

*

dniami w Haliczu. Wobec zgromadzonych regeneratorów cywilizacji europejskiej, wśród rozlanej w powietrzu woni dziegciu i wśród popłochu synów Izraela, ks. Naumowicz porzucił *sa légitime*, Ruś unicką, i objawił nieprawą skłonność ku wdziękom na *mamałydze* zaokrąglonym — jednem słowem, ku szyzmatyckiej Bukowinie. Mógł poszukać oblubienicy za Karpatami, zkąd także częste i głębokie *stohnenje* (grido di dolore) zalatuje do domu Narodnego; mógł wyciągnąć ramiona ku nadobnej krasawicy Ukrainie — otóż nie, najsposobniejszą ku *adulterium* moralnemu wydała mu się właśnie ta kukurudziana czarodziejka o pełnych formach, czerwono wyszywanej koszuli i w drugiej szacie śmiałością fałdów przewyższającej kostjum pięknej Heleny, bo złożonej jedynie z dwóch fartuszków bardzo niedokładnie z sobą spojonych... Fe, księże proboszczu, kto widział?!

Ach, Kazimierzu, Kazimierzu Sprawiedliwy, przybywaj i zrób porządek w Haliczu!

* * *

Od tego niemoralnego widoku, odwróćmy czemprędzej oczy nasze w idealniejsze, mistyczne sfery. Oto nakładem i drukiem Związkowej drukarni we Lwowie, bez wymienienia autora, wyszedł spory tomik (198 str. in 8vo) pt. „*Zestawienie* objawionych w Kościele rzymsko-katolickim, a w znacznej części już spełnionych *Przepowiedni o Losach Ziemi, Ludzkości i Wszechświata*." O ile mi wiadomo, dzieło to nie znajduje się w handlu księgarskim, i tylko rozdawane bywa *gratis* tym, którzy nie zostają w służbie Antychrysta. Z okoliczności, iż i ja otrzymałem jeden egzemplarz, przyjaciele moi wnoszą, iż znajduję się przecież w stanie łaski, co mię bardzo cieszy, bo nie lubię stawać się powodem frasunku moich przyjaciół. Co się zaś tyczy samej książki, zaopatrzona ona jest winietą przedstawiającą pierwszą kartę z „W o j n y" Grottgera, proroctwa zaś w niej zawarte odznaczają się tem, że „spełnione" nie były znanemi przed spełnieniem się swojem, a niespełnione dla bałamutności swojej dałyby się bezpiecznie pokrajać i drukować jako artykuły wstępne pewnej gazety w chwilach „czekania i orjentowania się," albo jako mowy przedwyborcze dla użytku niektórych kandydatów. Bałamutność udzieliła się jednakowoż po części także wykładowi proroctw, uznanych za spełnione, i to w sposób często jaskrawy. Celem nieznanego autora było wskazać tryumfy N. Panny z Salette i kościoła rzymsko-katolickiego — otóż między innemi, tłumacząc Apokalipsę, odniósł on tryumf anioła w rozdz. 10. do tryumfów — Oliwiera Kromwella, nie wiedząc może, że tryumfy te były klęskami zasad rzymsko-katolickiej wiary. Ponieważ atoli całe dzieło przeznaczone jest dla osób dotkniętych już wysokim stopniem kołowacizny, więc jeden *lapsus* mniej albo więcej nie psuje całości, ale owszem uczyni ją ponętniejszą dla warjatów. Nie wiadomo mi tylko, czy złożono obowiązkowe egzemplarze w Zakładzie Kulparkowskim? Jeżeli istnieje postępowanie objektywne w sprawach prasowych, t. j. postępowanie, gdzie sąd potępia nie autora, ale jego dzieło, doktorowie Sawicki i Opolski mieliby tu piękną sposobność zastosowania tej procedury w psychiatrji, i mogliby polecić konfiskatę „Zbioru przepowiedni" na podstawie poszlak zawartych w nim od początku do końca.

* * *

Obok tego objawu niespożytości głupoty ludzkiej, miło jest zaznaczyć także bodaj drobny objaw wprost przeciwnego rodzaju. Takim jest niezawodnie dosadna odprawa, w korespondencji z Boulogne, umieszczonej w *G. Nar.*, udzielona p. Julianowi Klaczce z powodu inwektyw przeciw ruchowi z r. 1863, zawartych w jego rozprawie p. t. „Dwaj kanclerze," drukowanej w *Revue des deux Mondes*. Od dłuższego już czasu inwektywy podobne wychodzą z obozu, który bynajmniej nie był obcym owemu ruchowi. Otóż przypomniano teraz p. Klaczce, że należał on do stronnictwa z osobistych pobudek przeciwnego margr. Wielopolskiemu, do stronnictwa, które paraliżowało działalność tego męża stanu, i słuchało podszeptów z Paryża, niepopartych później czynną pomocą. P. Klaczko powiada, że „ruch wywołany był przez studentów i kobiety, i otrzymuje na to odpowiedź, iż w *Wiadomościach* paryskich a później w *Czasie* rozżarzył agitację, która poprzedziła i spowodowała ruch „studentów i kobiet." Dowiadujemy się z repliki na rozprawę p. Klaczki, że nim jeszcze naród mniemał, iż przyszedł czas walczyć o wolność, inni mieli już *in petto* kandydatury do korony polskiej, i dla tego tylko występowali przeciw Wielopolskiemu. Byłoby rzeczą pożądaną, gdyby kto rozszerzając tę odprawę, ale ktoś nie szukający sposobności pochwalenia się własną ofiarnością, męczeństwem i wielkością, opisał początki ruchu z r. 1863, wykazując rozmaite ich źródła i spychając należną część odpowiedzialności na tych, co pierwsi, jak dzieci, bawili się zapałkami w prochowni, a po eksplozji składają winę na proch, iż się zapalił. Po takich wyjaśnieniach umilkłyby z pewnością „Teki Stańczyka" i głosy rozmaitych — apostołów.

Jan Lam.

Rozwój w przyrodzie i w dziejach

przez

LUDWIKA WIERZEJSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wybór płciowy polega na tem, że osobniki u których części ciała jak np. rogi u jeleni są lepiej wykształcone, wytrzymują łatwiej konkurencję przy staraniu się o samicę, nad innemi mniej dobrze uposażonemi i przenoszą te własności na swe potomstwo. Oprócz tego że samice silniejsze i prędzej skłonne do małżeństwa dają pierszeństwo takim samcom. Przez współdziałanie więc tych dwóch czynników powstaje pokolenie lepiej ukształcone w liczbie większej, niż pokolenie mniej doskonałe, a przez sumowanie się tych wpływów w ciągu życia wielu pokoleń powstaje nowa doskonalsza rasa.

Wszystkie istoty ustrojowe zostają w ciągłej walce o życie. Walka ta wynika ztąd że więcej zwierząt i roślin się rodzi niżeli ziemia wyżywić jest wstanie. Walka o życie jest troista: naprzód z zewnętrznemi warunkami życia, następnie między osobnikami różnych gatunków, nareszcie między osobnikami tego samego gatunku. Staje się ona tem zaciętszą im większą jest nieproporcja między liczbą istot ustrojowych a środkami potrzebnemi do utrzymania ich życia, i im więcej osobników zawisłych jest od jednakich warunków życia. Dlatego ta walka czyli raczej to współubieganie się o środki do utrzymana życia jest większem między osobnikami należącemi do tego samego niż do różnych gatunków.

Nie możemy się wdawać w wyczerpujące udowodnienie teorji Darwina gdyż to przekraczałoby zakres naszej rozprawki; nie możemy jednak pominąć jednego z najtrafniejszych dowodów tej teorji, a tym jest równoległość między systematyką istot ustrojowych, polegającą na umiejętnem ugrupowaniu tychże według ich wzajemnego podobieństwa, a paleontologją, wykazującą że skamieniałości tych istot w tym samym porządku w pokładach geologicznych są złożone, w jakim je przyrodnicy według ich wzajemnego podobieństwa w tak zwany „system naturalny" ułożyli, i embrjonologją która wykazuje, że każde wyższe zwierzę przebywa stopniowo w ciągu swego embrjonalnego życia formy, w których podobnem jest do coraz to doskonalszych niektórych zwierząt niższych, które w dawniejszych okresach geologicznych na ziemi się pojawiły. Ta równoległość między temi trzema faktami jest widocznie nie przypadkową, lecz wynika z przyczyn wewnętrznych.

Jeżeli porównamy czynniki działające w drugim okresie dziejów utworzenia przyrody, t. j. w okresie biologicznym z czynnikami okresu pierwszego tj. okresu wytwarzania się ciał niebieskich, to spostrzegamy, że w okresie biologicznym przy wytwarzaniu się coraz doskonalszych istot ustrojowych tak samo siły wyłącznie przyrodne, mechanicznie i bezwiednie i według prawideł ściśle przyrodnych działają, jak w okresie pierwszym, przy wytwarzaniu się ciał niebieskich.

W okresie pierwszym widzieliśmy jako siły działające: siłę odśrodkową i siłę ciążenia; siła odśrodkowa sprawiała wydzielanie się ciał niebieskich ze środkowej mgławicy gazowej, siła ciążenia zaś sprawiała, że nowo wytworzone światy zachowały swą postać i swój byt osobnikowy, a nie rozproszyły się napowrót w atomy, z których powstały. W okresie biologicznym okazują się znowu dwie główne siły działające: bezpośredni wpływ zewnętrznych warunków życia, dający pierwszy impuls do zmienności, i dziedziczność. Tak jak w okresie pierwszym skutkiem siły odśrodkowej było powstawanie nowych światów, tak w drugim okresie zmienność była przyczyną powstawania nowych gatunków. Dziedziczność zaś chroniła nowe gatunki od utraty nabytych własności, które przechowywała dla dalszych pokoleń, tak jak siła ciążenia chroniła ciała niebieskie od utraty ich indywidualności i ich postaci.

Fizyka nas uczy, że w przyrodzie żadna siła ani z niczego nie powstaje ani nie ginie, lecz tylko że siły w pewnych okolicznościach jedna w drugą się przemieniają, to jest zmieniają sposób swego działania. I tak siła ruchu mechanicznego może być przemienioną na ciepło, ciepło na elektryczność i magnetyzm, elektryczność i magnetyzm na siłę chemiczną i odwrotnie, przy których to przemianach równoważniki sił pozostają niezmienne. Jeżeli więc w okresie biologicznym okazują się siły pozornie inne niż w okresie kosmicznym, to jest to właśnie tylko pozornem, i pochodzi ztąd, że w świecie ustrojowym działają siły w innych warunkach i że działanie tych sił jest więcej skomplikowanem jak w świecie nieustrojowym; nie wynika jednak z tego wcale, jakoby siły były zasadniczo inne, gdyż ostatecznie działanie każdej siły polega na ruchu atomów.

Powiedzieliśmy w ciągu naszej rozprawki, że gdy ciepłota na powierzchni ziemi dostatecznie się zniżyła, pojawiały się stopniowo coraz to doskonalsze zwierzęta. Musimy teraz bliżej wytłumaczyć, w jaki sposób tę różnicę w doskonałości pojmować należy. Istoty ustrojowe wszystkich gatunków uposażone zostały przez przyrodę w taki sposób, że ich organizacja odpowiada zupełnie okolicznościom w których one żyją, gdyż właśnie te okoliczności i warunki życia są jednym z czynników, które działają przy wytwarzaniu się ustrojów. W tym względzie więc nie ma różnicy w doskonałości istot ustrojowych należących do różnych gatunków. Jedyną różnicą w doskonałości stanowi stopień rozwoju psychicznego, tj. suma świadomości, którą zwierzęta posiadają, a że takie różnice w świecie zwierzęcym (a może też i roślinnym) rzeczywiście istnieją, to się nie da zaprzeczyć. Z pojawieniem się na powierzchni ziemi człowieka, którego pochodzenie od zwierząt jakeśmy to już wspomnieli najnowsze badania umiejętne dowodzą, rozpoczął się trzeci okres dziejów przyrody, okres antropologiczny. Ludzie w pierwszych tysiącach lat swego istnienia nie mogli wiele się różnić od tego gatunku zwierząt, które były ich bezpośredniemi przodkami. Żyli oni zupełnie w stanie natury i byli dzikszymi niż najdziksze obecnie na ziemi żyjące plemiona, a jeżeli uwzględnimy, że mowa teraźniejszych na najniższym stopniu umysłwego rozwoju stojących plemion ledwo z kilkudziesięciu słów się składa, to śmiało twierdzić możemy, że pierwsi ludzie byli prawie niemymi, i tylko stopniowo mowa się u nich wytwarzała. Później dopiero doszli do tego, że porobili sobie kamienną broń, kamienne narzędzia i zbudowali sobie budynki palowe. Broń ta i te narzędzia były jednak z początku bardzo surowo obrobione, jak tego dowodzą wykopaliska w ostatnich kilkunastu latach w bardzo wielu miejscach Europy, Ameryki i Afryki odkryte, a w jeszcze późniejszych dopiero czasach nauczyli się nadawać tym przyrządom formę więcej ogładzoną i wyrabiać naczynia z gliny. Następnie zaczęli wyrabiać narzędzia z rogu jeleniowego, potem z bronzu, i robić tkaniny któremi się okrywali, aż nareszcie w najnowszej epoce dziejów przedhistoryczych doprowadzili do tego, że wyrabiali broń i narzędzia z żelaza.

Dopiero gdy ludzie doprowadzili do tego, że nie potrzebowali z wrogiemi wpływami otaczającej ich przyrody staczać ciągle surowej walki o pierwsze potrzeby życia; wyrobiły się u nich wyższe zdolności umysłowe. Ludzie rozmnożywszy i rozsiedliwszy się na większych przestrzeniach powierzchni ziemi, podzielili się na odrębne narody i potworzyli pierwsze zawiązki państwowe i społeczne, i wtenczas rozpoczęło się to co nazywamy rozwojem cywilizacji, a co stanowić powinno właściwy przedmiot historji. Okres historyczny jest więc tylko dalszym ciągiem tego okresu, w którym ludzkość żyła w stanie natury. W okresie historycznym spostrzedz się daje od najdawniejszych czasów, po które sięgają nasze wiadomości historyczne, aż do czasów obecnych prawie ciągły postęp ludzkości do coraz to wyższej doskonałości umysłowej, a chociaż bywały w ciągu dziejów krótsze lub dłuższe epoki, w których albo pojedyncze narody, albo nawet wielka część ludzkości znajdowała się w zastoju lub nawet uwsteczniała się, to zawsze potem nastąpił zwrot w kierunku postępu tak, że główny kierunek w którym się w ciągu dziejów ludzkość poruszała, był zawsze postępowym.

Tomasz Buckle w znakomitem swem dziele pt. „Historja cywilizacji w Anglji“ udowodnił, że głównemi czynnikami działającemi w dziejach ludzkości są: klimat, gleba, pożywienie, stan atmosfery i zjawiska w przyrodzie. Drapper zaś w dziele pt. „Dzieje rozwoju umysłowego Europy“ wykazał że ustroj fizjologiczny osobników, z których się składają narody, należy zaliczyć także między te czynniki. (D. n.)

Sprostowanie omyłki.

W poprzedzającej części tej rozprawki na stronie 268 w wierszu 6 z dołu, zamiast „moreny“ czytaj monery.

Piśmiennictwo polskie.

(Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum t. z. bernardyńskiego we Lwowie wskutek fundacji śp. Aleks. Stadnickiego wydane staraniem Wydziału krajowego T. V. opracował prof. dr. X. Liske — Lwów 1875.)

Piąty to już tom pożytecznego a na Rusi jedynego wydawnictwa, a czwarty wydany przez dr. Liskego, jednego z owych nie wielu u nas ludzi, którzy z naukowem przysposobieniem podejmują się prac edytorskich. Od drugiego tomu zacząwszy, widzimy w wydawnictwie tem z każdym nowym tomem ogromny postęp. Tom trzeci odróżnia się od drugiego lepszym układem indeksu, czwarty od poprzednich licznemi dopełnieniami. I tom piąty ma także ulepszenia; mianowicie zachodzące w dokumentach y jest tutaj zawsze na **ii** zmieniane, skoro zastępuje miejsce **ii** natomiast przez y ilekroć zastępuje pojedyńcze **i**, gdyż jak słusznie zauważył wydawca w przedmowie: y w pierwszym razie zastępuje tylko miejsce dwóch **ii**, z których drugie jest pod linję przeciągnięte. Dodany indeks pieczęci ułatwi numizmatykom i heraldykom korzystanie z aktów. Jak we wszystkich tomach tak i w tym wprowadził dr. Liske w dokumenta nowszą interpunkcję, trzymając się zasad wypowiedzianych w „Przewodniku naukowym i literackim,“ gdzie bronił swej zasady przeciw zdaniu p. Bobrzyńskiego.

Ze stu sześćdziesięciu dokumentów tomu tego, odnosi się przeważna ilość do historji miasta Lwowa i okolicy, kilka do historji miasta Przemyśla, niektóre do historji miasta Tarnowa jakoteż do historji miasteczek i wsi jak: Otwinowa, Gorzyc, Wielopola Rzeczycy, Gwoździca, Strylcza, Zubrzy, Nowego Siedlca, Buczacza, Secemina, Wieliczki, Olszyn itd. itd.

Przeważna część dokumentów jest albo własnością archiwum m. Lwowa, albo Zakładu nar. im. Ossolińskich, choć zużytkowano także dokumenta archiwum m. Przemyśla i będące prywatną własnością. Treści pojedyńczych dyplomatów przytaczać nie pozwala nam szczupłość miejsca, notujemy więc tylko ważniejsze: Nr. I. Władysław Łokietek pozwala Spycimirowi woj. krak.*) w kluczu tarnowskim założyć miasto na prawie magdeburskiem. Nr. XII. Władysław Opolski nakazuje, aby każdy duchowny kupujący dom we Lwowie płacił podatki z n ego przypadające miastu*). Nr. XIV. Król Ludwik uwiadamia urzędników Dobrzynia, iż nadał tę ziemię Opolczykowi w zamian za Ruś. Nr. XIX. Wład. II. Jagiełło nadaje Przemyślowi prawo magdeburskie. Nr. XX. Królowa Jadwiga potwierdza Feodora Ostrogskiego w posiadaniu Ostroga. Nr. XXIV. Michał i Teodoryn z Buczacza uposażają kościół w Buczaczu. Nr. XXXII. Klemens z Borowy nadaje wsi Szczudowo w pow. Pilznieńskim prawo magdeburgskie. Nr. XXXV, Wład. Jag. nakazuje, aby przeprowadzono nadane mieszczanom uwolnienie od ceł. Nr. XXXVII. Wład. Jag. zwalnia mieszczan lwowskich od dostarczania podwód. Nr. LXIV. Władysław Warneńczyk nakazuje, aby urzędnicy Rusi nie pozwalali kupcom jadącym z towarami omijać Lwowa, a szlachcie ustanawiać u siebie nowych ceł, co Kazim. Jag. (Nr. CXXX.) potwierdza. Nr. LXVI. Władys. Warn. zapisuje Andruszkowi księciu Ostrogskiemu 100 grzywien na żupach w Drohobyczu. Nr. LXXV. Wład. Warn. potwierdza swobody stanów. Nr. LXXXV. Wład. Warn. uwalnia lwowian od wszelkich ceł. Nr. XCIV. Wład. Warn. pozwala mieszczanom Kołomyji założyć łaźnię, wagę, targ na mięso, postrzygalnię sukna (Nr. XCV.) i woskobójnię. Nr. XCIX. Jan z Czyżowa i Piotr Odrowąż pozwalają założyć klasztor Karmelitów przed bramą halicką. Nr. CX. Wład. Warn. oznajmia, iż mieszczanie lwowscy nie są obowiązani pokazywać swych przywilejów nikomu, wyjąwszy królowi, a i to tylko za przybyciem do Lwowa. Nr. CXLII. Kazim. Jagiell. potwierdza swobody stanów.

Jest także wiele dokumentów cechujących więcej jak inne wiek i tak najcharakterystyczniejszym bezwątpienia jest Nr. CXL. mocą którego Rajcy miasta Lwowa obowiązują się, iż każdy z nich, któryby na wezwanie burmistrza w pół godziny nie przyszedł „przez które miastu siela omieskania y błędów przychodziło,“ ma za karę „przes nocz na Ratusu zostac a do tego wierdunek polski dacz za winę bez wszelkiey łaski!“ Marcin V. poleca, aby ekskomunikować trzech mieszczan lwowskich, którzy poturbowali Marka z Kościana, kleryka dyecezji poznańskiej. Jan Wolin prowincjał Karmelitów zakazuje Karmelitom warzyć piwo i trzymać u siebie ludzi szkodliwych miastu Lwowu itd. itd.

Przestrzeń czasu jaki w dokumentach objętym został wynosi prawie półtora stulecia (1330 do 1469). Wyborny indeks i wspomniany już wyżej spis pieczęci z tomów od II. do V. kończą wydawnictwo. W najbliższym czasie spodziewać się możemy dalszego tomu, który już będzie obejmywał przeciąg czasu aż do 1506.

M.

*) Był on jak wiadomo prostoplastą Tarnowskich i Melsztyńskich. Patrz Szajnocha Jadw. i Jag. II. 369.

*) Widać, iż z tego prawa wyłamywali się księża tak jak i z pod prawa, aby każdy szlachcic mający posiadłość w mieście płacił podatki, wyłamywali się panowie, dla tego też specjalnemi edyktami musieli królowie nakazywać wypłatę; patrz Caro. Lib. Canc. St. Ciołek I. 76. Nr. XXXIX. a Wład. Warn. widząc, że to nie skutkuje, nakazał, aby szlachcic ani duchowny nie mógł posiadać domu w mieście. Akta V. CIX.

Listy z Niemiec.

(Dokończenie).

Berlin 5. Sierpnia 1875.

Międzynarodowa Biblioteka Naukowa, wydawnictwo, które chociaż dopiero liczy parę lat istnienia, zdołało sobie wyrobić pierwszorzędną sławę, puściła w obieg znowu kilka prac nowych. Do ostatnich

miesięcy należą: *Wiara i Wiedza* Drapera, *Poczytalność umysłowo-chorych* Mandsleya i *Pięć zmysłów człowieka* (Die fünf Sinne des Menschen) Hoffmana. Tylko ostatnie z tych dziełek jest pracą Niemca. Autor na drodze ściśle naukowej analizy kreśli fizjologiczne procesy w pięciu kierunkach odpowiadających pięciu naszym zmysłom. Całą masę wrażeń dzieli na dwie zasadnicze grupy: uczucie zmysłowe (Sinnensempfindungen) i uczucia ogólne (Algemeingefühle). Różnicę między obu temi kategorjami objaśnia często cytowanym przykładem. Przyłożywszy ostrze noża do ciała czujemy za pośrednictwem dotyku; jeśli wszakże nóż zaczniemy wrzynać w ciało wtedy rozpocznie się szereg innych uczuć, mianowicie uczucia bolu. Słowem więc, czucia zmysłowe dają nam poznać istnienie zewnętrznych przedmiotów, ogólne zaś — nasz własny stan. Jak wspomniałem, praca Hoffmana jest ściśle naukową, co ogranicza jej użyteczność do sfery wyżej lub nawet specjalnie wykształconych czytelników. Rysunki ilustrujące tekst pomagają wprawdzie do zrozumienia go, szkoda jednak, iż autor nie posiada popularyzatorskiego talentu uczonych angielskich lub francuskich.

Jak wiadomo Bibljoteka Międzynarodowa publikuje swe dziełka jednocześnie w języku angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim i rossyjskim. Jest to doprawdy rzecz dziwna, że żadna polska firma nie weszła do spółki. Bo przecie nie ulega wątpliwości, że ilość tego rodzaju książek rozkupowanych w Rossji albo wcale nie przewyższa Polski albo o bardzo nie wiele. Wiem z pewnych źródeł, że ile razy wydawnictwo dzieł popularno-naukowych miało przystępną cenę i wiarę, rozchodziło się u nas w kilku tysiącach egzemplarzy. W Polsce podobno o tę ostatnią trudniej, gdyż publiczność często na dobroci tłumaczeń się zawodzi. Gdyby jednak Polska wzięła udział w Bibliotece Międzynarodowej, byłoby bardzo łatwo w publiczności wyrobić zaufanie do przekładów, gdyż zarząd wydawnictwa rozpościera przez specjalistów nadzwyczaj skrupulatną kontrolę i nie puszcza książki w żadnym języku, dopóki nie zrewiduje doskonałości tłumaczenia i zgody z oryginałem. Uwagę tę robię bez cienia wyrzutu naszym księgarzom, gdyż bardzo być może, iż ich rachunek prawdopodobieństwa inaczej w tym przedmiocie wyrokuje. W każdym razie szkoda że język nasz w owem międzynarodowem przedsięwzięciu nie figuruje.

Z „Tygodnia" dowiedziałem się o bytności p. Kubarego na zjeździe lwowskim i jego zamiarze ogłoszenia po polsku swych językowych badań nad dyalektami Polinezji. Jeżeli piśmiennictwo nasze może się z czego cieszyć, to przedewszystkiem z takich prac. W porównaniu z tem zainteresowaniem się ludami dzikiemi jakie panuje w Niemczech i z wiedzą zachodniej Europy w tym przedmiocie, nasze zainteresowanie się i nasza wiedza jest po nad wszelki wyraz biedniuchną. Ciekawość ogółu rozbudza się co najwyżej wrażeniami podróży fantazujących na temata etnologiczne, któremi wyobraźnia może się nasycić, ale umysł nie znajdzie dla siebie materjału, lub co gorsza nasiąknie zmyśleniami. Trzeba po prostu niezmiernej uczciwości charakteru, ażeby w opisach podróżniczych nie kłamać na korzyść efektów. Temu fatalnemu błędowi ulegały bardzo poważne umysły, a nauka już nieraz musiała poprawiać skutki niesumiennych doniesień i odwoływać oparte na nich wnioski. Kto chociaż krótko zajmował się etnologją, ten wie, jak ona mało posiada niepodejrzanych faktów, i jak cennym jest każdy który z dobrego źródła przybywa. Przedewszystkiem zaś pożądanem jest, ażeby podróżujący rzeczywiście widzieli i znali to, co opowiadają. Jak inne narody oto dbają, dowodem mecenas p. Kubarego, który wydaje olbrzymie sumy dla zebrania pewnych wiadomości o stanie ludów dzikich. Że zaś p. K. należy do ludzi istotnej naukowej wiary i zdolności, przekonywają sprawozdania jakie po niemiecku ogłasza i jeden polski niezmiernie ważny traktat, jaki przed kilku laty pod jego imieniem w *Tygodniku Ilustrowanym* spotkałem. Nie ma tam blagierji, zmyślonych niebezpieczeństw, walk, przygód itp. ale jest sumiennie zebrany materjał, który nauka może z korzyścią i zaufaniem spożytkować. Powiedziałem, że Polacy nie nauczyli się jeszcze interesować badaniem życia ludów dzikich, a jednakże jest to sfera najciekawszych dziś odkryć, sprawiających nieraz przewrót we wszystkich historjozoficznych teorjach. I dla tego to Niemcy z nadzwyczajną skrupulatnością zbierają każdy nowy fakt, wydają mnóstwo pism specjalnych, książek, sprawozdań, bo wiedzą że jest niewątpliwą prawdą, że ludy dzikie staną się w wielu rzeczach kiedyś, jeśli już nie są, nauczycielami cywilizowanych.

Poruszając ten przedmiot wspomnieć mi wypada o świeżo wydanych *Reisen in der asiatischen Türkei* (Leipzig) Juljusza Serff. Turcja nie jest wprawdzie dla nas Nową Zelandją lub Angolą, dokładne wszakże jej opisy są bardzo pożądane. Na nieszczęście nie można zbyt hojną pochwałą obdarzyć autora wspomnianej książki. Zwidził on głównie Cypr, Syrję i i Anatolję, ale opowiedział tylko te wrażenia, jakie po drodze w zewnętrznych widokach spotykał. Pokazuje nam tylko mosty, drogi, góry, rzeki, równiny, domy, pola, łąki, drzewa, słowem to tylko co z bryczki, jadąc bez popasu, widzieć można. Ma to także swoją wartość ale zbyt małą. Podróż Serffa robi wrażenie pustych ram, w których nie pomieszczono obrazu, oznaczywszy go tylko zawieszonym na nich napisem. Gdy autor wjeżdża do Beyrutu lub Palmyry zdaje się, że tam nikogo więcej nie ma oprócz jego służby i kilku znajomych.

W inny sposób i mniej zawodzi w nowej edycji wydane *Die Anfänge der Cultur* (Jena) Franciszka Lenormant. Interes rozbudzony do życia ludów dzikich nadał temu tytułowi poplatną aureolę, zwłaszcza gdy go nią rzeczywiście otoczyli angielscy a niezrównani w tym rodzaju badacze jak Lubbok, Tylor i inni. Każdy etnograf tylko marzy o tem, ażeby jednego wesołego dnia ukazały się za księgarskiem oknem pod jego imieniem *Początki Cywilizacji*. Mniej cierpliwi nie czekają aż zbiorą doń materjały dla usprawiedliwienia tego tytułu, lecz ozdabiają nim fragmenta. Tak właśnie postąpił sobie Lenormant. Praca jego nie jest żadnem kompletnem dziełem (rozumie się względnie do znacznego zakresu cywilizacji pierwotnej) lecz składa się z kilku luźnych rozpraw, które autor różnemi czasy osobno drukował. Tom pierwszy zajmuje się przedhistoryczną archeologją i Egiptem, zwłaszcza zaś poematem Pentaur i historją niktórych zwierząt domowych tego kraju. Drugi poświęcony Assyrji i Fenicji a raczej rozbiorowi kilku należących do tych krajów mytów (np. Okadmosie) i epopei (chaldejska Veda) a wreszcie kosmologicznych tradycji (o potopie). Jak widzimy autor przeważnie rozkopuje grunt historyczny zatem nie ten, w którym się właściwie kryją p o c z ą t k i cywilizacji. Nie podobna mimo to zaprzeczyć wywodom jego znacznej wiedzy i gruntowności a wiele pomysłów zasługuje nawet na szczególną uwagę. Tak np. Lenormant dochodzi do wniosku, „że ze słów, które język grecki przejął od Fenicjan, najwcześniej przeszczepione i najważniejsze pochodzą z czasów przed powstaniem homerowych epopei i że w tej ostatniej epoce adoptacja ich była już tak dawną, iż mogły zająć miejsce między właściwemi pierwiastkami języka greckiego, i zrodzić formy pochodne bądź z siebie bądź ze związku z innemi pierwiastkami".

Archeologja zyskała inną i bardzo kosztowną ofiarę ze znakomitych rąk apologety cezaryzmu, głośnego historyka Th. Mommsena. Wspólnie z Joachimem Marquardtem wydaje częściowo od lat kilku gruntownie opracowany *Handbuch der römischen Altertümer*. Wziął na siebie część prawną, i właśnie teraz ogłosił w dalszym ciągu *Römisches Staatsrecht* (II. B. 2. Abth.) Całej publikacji brakuje jeszcze cztery tomy, t. j. dokończenie prawa państwowego, i starożytności życia prywatnego (Marquardt).

Darwin, jak zwykle od pewnego czasu, jest tu przedmiotem niezliczonych rozbiorów. Bez przesady powiedzieć nawet można, że jest przedmiotem osobnej gałęzi piśmiennictwa. Nie mogę nawet tytułami wspominać o nowych w tym rodzaju pracach, zanotuję wszakże jeden charakterystyczny szczegół. Niemcy, chociaż porównani z Anglikami i Francuzami, mieli stosunkowo najmniej genjuszów otwierających w nauce nowe ery, usiłują jednak dla swojej ojczyzny koniecznie wywalczyć przywilej płodzenia wszystkich wielkich myśli, bodajby nawet przyszło jakiemuś narodowi na cygański sposób porwać jakiego słynnego człowieka, lub poprostu go anektować. Ani jedna ani druga metoda nie obiecuje im na nieszczęście żadnego powodzenia z Darwinem, postanowili zatem uratować swój przywilej inaczej. Wyciągają mianowicie najbanalniejsze zdania swych rodzimych genjuszów i starają się w nich odkryć prawdy, które Darwin wypowiedział, z czego naturalnie wynika, że on z duchowego pochodzenia jest Niemcem. A jakich mu przodków nie dano! Nieraz wzruszasz ramionami pytając, zkąd ci panowie naraz się wzięli? Wyglądają jak gromada biedeuszów konkurujących na zasadzie doraźnie sfałszowanego pokrewieństwa do spadku po miljonerze. Między niemi musiał naturalnie choć w niedobranem towarzystwie znaleść się i wielki Kant, który, jeśli uwierzymy Niemcom, wiedział wszystko co przed nim i po nim powiedziano. Jakże więc mógł nie wiedzieć o darwinowskiej teorji? Jest to kategoryczny Imperativ *à priori*: musiał wiedzieć! Pozostaje więc tylko przytoczyć jakie takie dowody, o co nie trudno, bo w każdej książce znaleść można słowa, które się dowolnie wytłumaczyć dadzą. Przedsięwziął właśnie tę pracę pan F r i t z S c h u l t z e (Kant und Darwin, Jena), dla którego jest jak słońce jasnem, że Kant był poprzednikiem Darwina. Szanuję wysiłki pana Schultzego, z żalem jednak wyznać muszę, że widocznie swego rodaka nie dość uważnie studjował, skoro go z Darwinem jedną koroną ozdobił. Z tej patrjotycznej omyłki może go łatwo wyleczyć nawet pobieżne odczytanie drobnego pisemka *Muthmasslicher Anfang der Menschengeschichte*, gdzie Kant „zrobiwszy wesołą wycieczkę na skrzydłach wyobraźni" do epoki powstania naszego rodu wykłada p o c h o d z e n i e c z ł o w i e k a według Biblji. „Der Leser—są jego słowa—wird die Blätter jener Urkunde (1 Mose Cap. II.—VI.) aufschlagen, und Schritt für Schritt nachsehen, ob der Weg, den die Philosophie nach Begriffen nimmt, mit dem, welchen jene angiebt, zusammentreffe*)" A mogę zaręczyć, że istotnie obie drogi: kantowska i mojżeszowa *zusammentrefen*. Co tu więc mówić o darwinizmie u Kanta! Filozof ten był bezwątpienia umysłem niepospolitym, w pewnych jednak działach myślenia tak ciasnym i tępym, jak może żaden z równomiernych mu zdolności. W pismach jego przedewszystkiem brak tego, co stanowi duszę teorji Darwina — idei naturalnego rozwoju. Pod tym względem są od niego nieskończenie wyżsi tak zwani materjaliści francuscy XVII. i XVIII. stulecia. Z nich bowiem możnaby rzeczywiście wypisać cały szereg zdań bezpośrednio pokrewnych Darwinizmowi. Ale Kant! Patrjotyzmie niemiecki, litości nad logiką, nauką i nad... sobą!

Nie ubliżę wartości książki Karola Fortlage: *Beiträge zur Psychologie als Wissenschaft* u. s. w. (Leipzig), jeśli jej poświęcę tylko wzmiankę. Autor, jak wiadomo, uczeń Fichtego, stara się skrzyżować swego nauczyciela z Benekem, ażeby tym sposobem poprawić ułomną rasę idealizmu. Z tej pary jednak rodzi się bezpłodny mięszaniec Fortlage, który chce transcedentalne gazy Fichtego, skroplić lub na stałe ciała zamienić w benekowskich retortach. Przekonany jest, że mu się to udało, a my zostańmy przekonani, że niepotrzebnie narobił huku i zmarnował mnóstwo naukowego materjału na doświadczenia — daremne.

Ale..

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— La bande Cadet par Paul Féval, 2 vol. chez Dentu, Paris. 1875.

Przed kilkoma laty pojawił się bardzo dramatyczny romans tego samego autora, pod napisem „Habits noirs", którego powodzenie było bardzo świetne. Widocznie musiało się to podobać p. Fevalowi, gdyż w niniejszym romansie wskrzesił niektóre postacie z poprzedniego i zmienił je tylko o tyle, że dokoła nich stworzył nowe sytuacje. Mimo to najnowszy ten płód zdolnego pisarza jest dziś we Francji z niemałem zajęciem czytany.

— Mémoires d'un commissaire de police, par Pierre Zaccone, chez Dentu. 2 vol. Paris, 1875.

Zaccone, przyjaciel i współpracownik sławnego autora powieści kryminalnych, p. Gaboriau, który niedawno umarł, poszedł całkiem w ślady swego mistrza. Utwór niniejszy przechodzi wszystko, co na tem polu stworzono. Jest okropny, potworny i nadzwyczaj cie-

*) Im. Kant's, Kleinere Schrift. zur Ethik und Religionsphil. (Herausg. v. Kirchmann.) Berlin 1870, str. 52.

kawy. Główny bohater powieści interesuje czytelnika, który radby także odkryć winnego — pomścić się zbrodni.

— Abraham Lincoln par Alphons Jouauset, chez Hachette, Paris. 1875.

Dobrze skreślone życie wielkiego męża, bez względu na narodowość do której należał, nie przestanie być nigdy cenną publikacją. Jednym z takich mężów był bez zaprzeczenia Abraham Lincoln, który za pierwsze zaoszczędzone pieniądze kupił sobie „Życie Waszyngtona", a potem ciężko w dzień pracując, uczył się pilnie po nocach, dopóki przechodząc stopień po stopniu nie dostał się na krzesło prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Autor nie zapuszcza się w drobiazgi, lecz wielkiemi konturami rysuje tę postać olbrzymią, której genjusz okazał się tak potężnym w wojnie z Separatystami. Książka ta ze wszech miar zasługuje, by ją młodzież czytała.

— L'Histoire de France depuis les temps les plus reculés, jusqu en 1789; racontée à mes Petits-Enfants — par M. Guizot. 4 vols. Hachette, Paris. 1875.

O tej publikacji jużeśmy wspominali; wychodziła ona z początku w zeszytach, ze znakomitemi ilustracjami A. de Neuville, a teraz pojawia się w czterech wspaniałych tomach Nie jest to historja jak sam tytuł wskazuje, dla uczonych, zatem pod względem krytycznym ma pewne braki — ale dla młodzieży książka ta jest nadzwyczaj pożyteczną, gdyż autor umiał opowiadanie zrobić zajmującem, podnosząc głównie to, co w pamięć młodzieży najłatwiej się wdrażając, pozostawia potem w jej duszy ślady zbawienne.

— Histoire diplomatique de la guerre franco-allemande, pan M. Albert Sorel, Paris, chez Plon. 1875.

Dzieł poświęconych ostatniej wojnie między Francją a Niemcami, mamy już kilkadziesiąt. Każde jednak z nich zajmowało się najwięcej bitwami, oblężeniami i wojennemi operacjami. W niniejszem p. Sorel zajął się układami dyplomatycznemi, które toczyły się podczas kampanji i po wojnie. Patrząc z tego stanowiska, niniejsze dzieło trzeba uznać za bardzo ważne. Zawiera ono wielką ilość najważniejszych dokumentów. Zestawienie jest dobre, sposób opowiadania jasny.

— Le nouvel Opera par Ch. Nuitter, chez Hachette. Paris. 1875.

Autor tej książki uderza ostro na budowniczego nowej Opery paryskiej, p. Garnier. Styl nazywa nieszlachetnym i najgorszego smaku, scenę i wewnętrzne urządzenie uważa za niedostateczne, tak samo akustykę. Autor nie pomija żadnej drobnostki, i dla tego dla ludzi fachowych, zajmujących się budowaniem Oper, książka jego może być bardzo użyteczną.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Wszystkie dzienniki polskie, z wyjątkiem „Czasu," dały już p. Antoniemu Walewskiemu niedwuznaczną odprawę za jego ohydny paszkwil, nazywający się „Filozofją dziejów polskich." Niektóre zaczęły nawet umieszczać obszerniejsze krytyki. Honoru za wiele dla p. W. Jego utwór nie zasługuje na obszerniejszą ocenę. Któż polemizuje długo z uliczникiem lub warjatem, który plwa na przechodniów i błotem ich obrzuca?

— Poezje Teofila Lenartowicza wyjdą w Krakowie w pierwszem zbiorowem wydaniu. Ostatni poemat tegoż pisarza „Piekielni" ma być znakomitym.

— J. I. Kraszewski wystosował list do redakcji „Dziennika Poznańskiego," w którym rzuca myśl postawienia pomnika ś. p. Karolowi Libeltowi nie w Poznaniu, ale w Krakowie. Redakcja „Dzien. Pozn." dodaje ze swej strony, że powinien utworzyć się osobny komitet, który orzecze, gdzie pomnik stanąć powinien. Komitet zajmie się także zbieraniem składek. Dotąd zebrał „Dziennik Poznański" nie wiele nad 1.000 guldenów.

— Ryszarda Wagnera opera „Tristan i Izolda" będzie jedną z nowości nadchodzącego sezonu w operze berlińskiej. Wystawią ją pod osobistą dyrekcją kompozytora.

— Zebrana w ciągu lat 15 bibljoteka muzyczna rzymskiego kompozytora Aleksandra Orsiniego, obecnie, w skutek starań królewskiej akademji Santa Cecilia w Rzymie, została zakupioną przez ministra oświecenia i ofiarowaną w darze muzeum powyższej akademji. Akademja Santa Cecilia jest najstarszą w Europie; w r. 1583 założył ją Giovanni Pierluigi da Palestrina.

— Z inicjatywy p. J. Łepkowskiego, profesora archeologji przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a za poparciem prezesa miejskiej Rady powiatowej p. A. Dobrzyńskiego i ks. dziekana Pociołowskiego z Łącznej, w mieście Starym Sączu wzniesiono świeżo nagrobek Jadwidze, żonie Władysława Łokietka a matce Kazimierza, która zmarła w tem mieście, w kilka lat po obleczeniu sukni zakonnej w tamtejszym klasztorze panien Klaryssek. Nagrobek ten umieszczony w kościele nosi na sobie napis następujący: † Królowa Jadwiga — żona Władysława Łokietka — matka Kazimierza W. — w tym klasztorze r. 1333 przyjęła sukienkę zakonną — Tu pochowana r.1340.

— Profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, pan Józef Łepkowski, udał się listownie do króla saskiego z przedstawieniem, czyby nie uznał za właściwe przyczynić się do odnowienia grobowca protoplasty swego Augusta II. Mocnego, który ze wszystkich 14 grobowców królewskich na Wawelu, nietylko znajduje się w najgorszym stanie, ale nawet nie jest ozdobiony odpowiednim pomnikiem. W udzielonej na przedstawienie odpowiedzi, król saski oświadczył, iż dołoży starań, aby w czasie jak najkrótszym słusznej tej potrzebie zaradzono kosztem prywatnej J. K. Mości szkatuły.

— W d. 31. lipca w opactwie Westminster w Londynie odbył się obrzęd odsłonięcia pomnika postawionego Johnowi Franklin. Pomnik wykonany został na żądanie niedawno zmarłej żony słynnego podróżnika, przez rzeźbiarza Noble, według rysunków sir Gilberta Scott. Na cokole jest wyobrażenie okrętu, przez lody zamkniętego, a po nad niem czterowiersz napisany przez poetę Tennysona. Z prawej strony napis objaśnia, że pomnik ten poświęcony jest: „Pamięci sir Johna Franklin, urodzonego 16. kwietnia 1786 r. w Spilsby, hrabstwie Linkolshire, zmarłego 11. czerwca 1847 r. w Point Victory na morzu Lodowatem, ukochanego przez załogę wodza, która wraz z nim znalazła śmierć przy przebywaniu drogi północno zachodniej." Napis po lewej stronie objaśnia, że pomnik postawiony został staraniem wdowy, zmarłej w d. 18. lipca 1875 r. w 83 roku życia. Szczyt pomnika wieńczy popiersie Franklina z białego marmuru wykute.

Odkrycia i wynalazki.

— Mamuta zakonserwowanego ze skórą i sierścią znaleziono w okolicy miasta Permu, w Rossji. Osobna komisja petersburgskiej Akademji umiejętności wysłaną została do Permu w celu uratowania dla umiejętności cennego tego zabytku przedpotopowej fauny.

— Oldenburskie gazaty mówią, o świeżem a bardzo ciekawem odkryciu archeologicznem, dokonanem przed kilku tygodniami, w pewnej nadmorskiej miejscowości. Przy kopaniu ziemi we wsi Rostrup, natrafiono na wydrążony pień drzewa, który znajdował się w głębokości dwóch stóp pod powierzchnią. Po bliższem obejrzeniu, okazało się, że pień jest czółnem pierwotnej konstrukcji, takiem, jakiego zapewne używali mieszkańcy nadmorskich okolic w czasach przedhistorycznych. Właściciel gruntu, na którym ciekawe to odkrycie zrobiono, odstąpił czółno oldenburskiemu muzeum, gdzie obecnie wystawione zostało na widok publiczny.

— Ciekawe odkrycie zrobiono w Londynie w British-Museum. W olbrzymiem tem muzeum znajduje się bardzo wiele rękopisów, które należycie nie zostały jeszcze przejrzane, skutkiem czego od czasu do czasu pojawiają się rzeczy bardzo ważne. I tak w oddziale manuskryptów, znalazł się fascykuł wcale tam nienależący, w którym znajduje się cała serja znakomitych rysunków W. Hodgesa, odnosząca się do drugiej podróży sławnego kapitana Cooka. Fascykuł jest tak wielki, że kilku silnych ludzi zaledwie go z ziemi podnieśli.

— We Florencji przy robotach kanałowych odkopano kilka cennych rzeźb z epoki starorzymskiej, oraz mozajkową posadzkę z czerwonego i białego marmuru. Pyszną wazę przy odkopywaniu rozbito. W Rzymie również odkryto znowu wiele przedmiotów znacznej wartości. Na Eskwilinie wydobywają wciąż na światło dzienne grobowce z czasów etrusko-rzymskich. Zawierają one w sobie stosy kości, urny i ułamki tychże z czarną lub kolorową zwierzchnią powłoką. Dla pomieszczenia ich przeznaczono umyślnie oddział w Palazzo dei Conservatori.

— Niejaki p. Schroeder w nowym Yorku, wynalazca balonu dającego kierować się za pomocą steru, w kształcie hydraulicznej maszyny, o sile 8 koni i opatrzonego w łodzie ratunkowe, w dniu 21. lipca, przedłożył gronu znawców inżynierów nowojorskich model i rysunki swego pomysłu. Okręt powietrzny jego wynalazku waży 2.800 funtów, udźwignąć zaś może 1.200 funtów. Najmniejsza hyżość z jaką podróż napowietrzną odbywać może, obliczoną została na 70 mil angielskich na godzinę. Około 15. sierpnia ukończony być miał pierwszy tego rodzaju statek, którego koszta obliczono na 6.000 dolarów. Koszta pokryje wynalazca wespół z p. Gail, uczestnikiem znanej firmy baltimorskiej „Gail, et Ax", który pewny powodzenia tego wynalazku, zawarł już z p. Schroeder umowę co do przywileju. Jeżeli próby, które mają odbyć się naprzód w Washingtonie, a następnie w Nowym Yorku, Filadelfji i Baltimore, odpowiedzą oczekiwaniom, wtedy wynalazca zamierza zaproponować rządowi Stanów Zjednoczonych, ażeby urządził regularną pocztę nadatlantycką, za pomocą jego napowietrznego statku.

— Z Unterinnthal piszą do „Tiroler Blätter": Pewien Jezuita nazwiskiem Marcin Egger wystąpił obecnie jako wynalazca elektromotora. Zajmował się on przez 15 lat zadaniem, ażeby siłę magnetyczną uczynić tak samo zastosowalną do poruszania machin, jak parę. W końcu udało mu się wymyśleć machinę, która porusza lokomotywę za pomocą elektromagnetyzmu, tak samo jak para. Projekt ten został przedłożony wiedeńskiej Akademji umiejętności i uznany za praktyczny. Wynalazcy zapewniono zasiłek na dokończenie swego elektromotoru. Ten lektromotor zostanie wykończony w Wiedniu i posłany na wystawę do Filadelfji.

Starożytności japońskie.

— Jeden z dzienników angielskich otrzymał następujący list z Yokohamy w Japonji: „W Nara, dawnej rezydencji Mikada, gdzie w VIII stuleciu siedmiu potomków słońca panowało, znajduje się olbrzymi pałac drewniany, zbudowany przez jednego z królów w tym celu, aby w nim mogły znaleźć pomieszczenie najcenniejsze skarby państwa. Budynek cały był regularnie naprawiany co 60 lat, i dla tego do dnia dzisiejszego znajduje się w najlepszym stanie. Nad skarbami czuwał osobny zarząd. Dziś po 1100 latach wszystkie te skarby wystawiono po pierwszy raz w wielkiej świątyni Daibuc w Shan. Prawdopodobnie nigdzie jeszcze nie widziano tyle pamiątek, odnoszących się do epoki, która tak dawno istniała. Przedmioty są najrozmaitsze, i pochodzą głównie bądź z Chin, bądź z Indji. Między innemi widziałem pakiecik gładkiego, niezapisanego papieru, który tak dobrze wygląda, jakby niedawno był zrobiony. Znajduje się także kolos bronzowy, którego wysokość wynosi 53 stóp. Budynek, w którym te przedmioty były zgromadzone dla tego się utrzymał, że Japonja jest krajem, w którym panują wiatry jak nigdzie indziej, przeto ściany złożone z olbrzymich drzew były zawsze suche."

Szkolnictwo.

— P. Kałużniacki, którego profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego pragnęli ujrzeć w swojem gronie, został zamianowany profesorem nowozałożonego uniwersytetu w Czerniowcach. Kraków zatem uniknął na szczęście tego zaszczytu.

— Ministerjum zniosło przy Akademji technicznej we Lwowie kurs handlowy, co tylko na szkodę kraju wyjdzie, a technika krakowska została przemienioną na szkołę wyższą przemysłową, podobną do tych, które już istnieją w Bernie, Bielsku i Czerniowcach.

ROZMAITOŚCI.

— Na placu Strzeleckim we Lwowie znajduje się od niejakiego czasu menażerja p. Kallenberga, zasługująca na zwidzenie. Jest w niej Gnu afrykański, gatunek

antylopy, biały jeleń amerykański, zwierzę bardzo rzadkie, biedna żyrafa, która długą szyję wyciąga do gości, dwie piękne zebry, i bardzo wiele innych zwierząt czworonożnych i ptaków. Na baczniejszą jednak uwagę zasługują dwa lwy afrykańskie, tak wspaniałe i pięknie utrzymane, że równych im nie widzieliśmy w żadnym ogrodzie zoologicznym w Europie, a oprócz tego tak tresowane, że w zdumienie każdego muszą wprowadzić. Właściciel wchodzi do ich klatki, mówi do nich spokojnie, kijem nie bije, jak to zwykli czynić pogromcy, a one jak psy spełniają jego rozkazy. Koroną atoli menażerji jest orangutan, samica, o ile wiemy, pierwszy okaz tego zwierzęcia w naszem mieście. Przed trzema tygodniami był także samiec, ale zginął we Lwowie, nie mogąc prawdopodobnie znieść naszego powietrza, które tak jest czystem jak w żadnem innem mieście. Orangutan chodzi jak dziaduś o dwóch laskach, do gości uśmiecha się dobrodusznie, a jeżeli mu zegarek pokażesz, przypatruje się z niezmierną ciekawością, wyciągając palce abyś mu go dał. Dłuższy czas patrzyliśmy nań, jak usiłował rozwiązać węzeł u sznura, którym jest przymocowana jego budka do żelaznej kraty. Roztropność, z jaką się zabierał do tej czynności, wprowadzała nas w zdumienie.

— Hrabia Bougainville, urodzony w r. 1720, z początku prawnik, później żołnierz, a na końcu podróżnik po dalekich morzach, jechał pewnego poranku przez pola Elizejskie w Paryżu. W połowie drogi postrzega młodego księdza, który szedł ze zwieszoną głową. Widocznie trapiły go jakieś troski, gdyż twarz jego wyglądała bardzo melancholijnie. Był to ksiądz Philippeaux, znany w arystokratycznych kołach paryskich, i dla swoich przymiotów bardzo ceniony. Hrabia poznał go natychmiast. Rozkazawszy woźnicy aby się zatrzymał, krzyknął głośno: Kochany księże! — Młody kapłan szybko się zbliżył, witając uprzejmie hrabiego. — Pan mi coś nadto melancholijnie wyglądasz — przemówił hrabia — nigdy bym cię był nie poznał. Dziś podobnyś nie do ulubieńca salonów, ale do Trapisty. — „W rzeczy samej od dłuższego czasu nie mam humoru — odrzekł ksiądz z westchnieniem; — towarzystwa, bale, koncerta, teatr, nawet Opera przestała mnie bawić. Przyznam się hrabiemu, że od niejakiego czasu zaczynam się niesłychanie nudzić.“ — Ależ to najprawdziwszy spleen angielski! Czyż nie ma nań lekarstwa? — „Dotąd żadnego nie znalazłem.“ — Jeżli tak, to ponieważ i ja nudzę się w moim powozie, więc zrobię księdzu małą propozycję. Siadaj pan, jedź ze mną do Wersalu, tam zjemy śniadanie, i w ten sposób razem się ponudzimy. — Księdzu podobał się projekt, siadł więc do powozu i pojechał do Wersalu, gdzie na rozkaz hrabiego w pierwszym hotelu urządzono wyborne śniadanie. Podczas gdy przy stole siedzieli, przyniesiono hrabiemu wielkie pismo z królewską pieczęcią. — Musimy się spieszyć, — rzekł hrabia przeczytawszy. — Wczoraj byłem u króla na audjencji pożegnalnej, i oto otrzymałem właśnie jego rozkaz ostatni. Teraz nie zatrzymuje mnie już nic w Europie. — „Słyszałem coś o tem, — rzekł ksiądz ciekawie; — pan hrabia wybierasz się w daleką podróż, czy tak?“ — Nie inaczej, właśnie jestem w drodze do Brest. Moje statki są gotowe i na mnie tylko czekają. Ot wiesz co, księże, jakby to było pięknie, gdybyś mnie do Brest zechciał odprowadzić. Mimo melancholji, na którą się skarżysz, towarzystwo twoje bardzo mi się podoba. Rozważ tylko, że na kilka lat opuszczam Francję, aby włóczyć się po krajach i wyspach, gdzie nie ma ani salonów, ani tak miłych duszpasterzy.— „Z największą przyjemnością uczyniłbym zadość żądaniu hrabiego, ale na tak daleką podróż jak do Brest nie jestem w tej chwili przygotowany“. — Ależ to nic nie szkodzi! — odparł hrabia — wszystkiemu zaradzimy. Z całym spokojem rozporządzaj moją garderobą i sakiewką. — „A więc dobrze, niech i tak będzie!“ — Hrabia najął niezwłocznie parę dzielnych koni do swego powozu, i odtąd podróż odbywała się dniem i nocą. Gdy do Brest przyjechali, księżunio nie mógł przecież hrabiego natychmiast pożegnać. Grzeczność wymagała, aby go odprowadził na pokład okrętu, który stał w porcie. Na okręcie odbyła się uczta pożegnalna. Ksiądz wziął w niej czynny udział. Skutek wina i porteru nie był mały, zwłaszcza że statek, jakkolwiek na kotwicy, dość silnie się kołysał... Nie spodziewając się, labuś usnął; poczem na rozkaz hrabiego służba przeniosła go do pięknej kajuty i położyła na macie wiszącej. Gdy zbudziwszy się nazajutrz, wyszedł na pokład krokiem dość niepewnym, okręt pomykał z rozwiniętemi żaglami po Oceanie, a brzegi Francji były już podobne do wąskiej wstęgi. — „Hrabio! hrabio! — krzyknął Philippeaux — co to znaczy? Przypadkowo spotykasz mnie pan na polach Elizejskich, zapraszasz bym się z tobą przejechał do Wersalu na śniadanie, ztamtąd wabisz mnie do Brest, na swój okręt, a teraz, o mój Boże! ciągniesz mnie ze sobą do Antypodów!“ — Ależ mój księżuniu - odparł Bougainville z uśmiechem — zabrałem cię z Francji, a teraz proszę cię najuprzejmiej, zechciej być moim gościem i towarzyszem w podróży naokoło świata... Przecież mówiłeś, że w Paryżu wszystko cię nudziło: teatr, towarzystwa, Opera! Czyż na nudy jest co pod słońcem lepszego nad dłuższą podróż? — ,,To prawda — szepnął ksiądz niemało zdziwiony—ale co sobie pomyślą moi krewni i znajomi, którzy nie wiedzą co się ze mną stało?“ — To rzecz najmniejsza! w ostatnim liście pisanym na pokładzie, doniosłem do Paryża, że pana z sobą zabrałem. Możesz zatem być całkiem spokojny. Z najbliższego portu, do którego zawiniemy, napiszesz pan sam. Rad nie rad musisz zatem oddać się swemu losowi, a co do mnie jestem pewny, że mi wkrótce wdzięcznym będziesz, wyleczę cię bowiem ze spleenu, który tak nieznośnie popsuł ci był humor na kontynencie. — W rzeczy samej ksiądz, któremu nie pozostało nic innego do uczynienia, poddał się swemu losowi, i w ten sposób opłynął świat dokoła. Podróż trwała blisko cztery lata, od r. 1766 do 1769. Zdrów i wesół wrócił do Paryża, gdzie go jako wielkiego podróżnika z zapałem powitano. Odtąd nie skarżył się już nigdy na brak dobrego humoru. Genjalny pomysł hr. Bougainville wyleczył go radykalnie.

— W korespondencji p. Horajn z Ameryki do „Gaz. Polskiej“ czytamy następującą rzewną opowieść: „Wiecie zapewne z waszych gazet, że plemiona indyjskie zostały jeszcze raz odepchnięte dalej na zachód, ustępując bladym twarzom, dzikie i bezpłodne Czarne Góry (Blask Hils), w których ci ostatni odkryli trochę złota. Sądzono, że z tego przyjdzie do wojny z Indjanami; tymczasem przeciw wszelkiemu oczekiwaniu, przybyła do Washingtonu deputacja Czerwonoskórych, dla utargowania czegoś od rządu za ustąpienie Czarnych wzgórz, które dotąd im służyły za schronienie i pole łowów. Najpotężniejszy wódz jednego z plemion indyjskich, Spottet Tail, wszedł w układ z rządem washingtońskim o to ustąpienie za 25,000 dolar. i to nie gotówką, ale w wiktuałach, przydatnych Indjanom. Sami Amerykanie dziwili się, że z taką łatwością i tak tanio wydziedziczyli Czerwonoskórych z ziemi ich praojców; ale przestali się dziwić gdy się dowiedzieli, że w głębi tego interesu krył się romans tak nieszczęśliwy i rzewny, iż postanowiłem wam go opowiedzieć: W ostatnich chwilach wojny domowej, stacja wojskowa Laramie była miejscem pobytu rodziny sławnego indyjskiego Spotted Tail, z córką zaledwo wychodzącą z dzieciństwa. Garnizon fortu Laramie, składał się wówczas z kilku kompanji ochotników ze stanu Ohajo, (Ohio). Komendant fortu przystojny i zuchwały wojak, uczynił tak silne wrażenie na umyśle i na sercu młodej Indjanki, że się zakochała w nim gwałtownie. Na nieszczęście młody, poczciwy oficer nie podzielał uczucia, które obudził, i starał się dać do zrozumienia córce indyjskiego wodza, że nie może jej poślubić, a więc, żeby mu dała pokój. Ale młoda dziewczyna nie chciała o tem słyszeć. Zresztą nie mogła pojąć i wytłumaczyć sobie, dla czego ona, księżniczka z rodu, córka sławnego wodza nie mogłaby zostać prawą żoną żołnierza? Każdego poranku przystroiwszy się biedaczka jak mogła najpiękniej, stawała przed domem komendanta, aby go ujrzeć wychodzącego. W dniach przeglądu i ćwiczeń wojskowych śledziła za nim i starała się, o ile możność pozwalała, zbliżyć: szczęśliwa, jeśli ukochany zaszczycił ją spojrzeniem lub uśmiechem. Spotted Tail dowiedziawszy się o tak dziwnem postępowaniu córki, był mocno tem zmartwiony. Zabrał więc córkę i odprowadził do innego pokolenia, przebywającego w Górach Skalistych. Wódz przekonany był, że będąc oddaloną od oficera, przestanie nim się zajmować. Ale miłość zbyt się rozwielmożniła w sercu księżniczki indyjskiej, gdyż postanowiła raczej zamorzyć się głodem, niż żyć w oddaleniu od ulubionego. Pewnego dnia jeździec na spienionym koniu stanął przed wodzem i oznajmił mu, że córka umierająca życzy jeszcze raz go widzieć, zanim się uda do krainy Wielkiego Ducha. Spotted Tail natychmiast ruszył w podróż i zastał jeszcze przy życiu biedną dziewczynę. Kazała mu usiąść przy sobie i wziąwszy go za rękę, wyspowiadała się ze swojej miłości i cierpień. Potem dodała: „Ojcze mój! udam się wkrótce do krajów Wielkiego Ducha, gdzie przebywają w szczęśliwości przodkowie nasi. W tej pięknej ziemi będę czekała na was, dokąd i ty, ojcze, udasz się wkrótce gdyż starzejesz się widocznie. Jesteś wielkim wodzem i masz wiele wojowników, ale blade twarze są liczniejsze niż liście w lasach, i zaklinam cię, abyś z nimi nie wojował. Oszczędzaj twój naród i zagrzeb na zawsze tomahawki (miecze). Niedaleki dzień w którym połączysz się zemną w krainie szczęśliwości, dokąd ja wnet się udam. O mój ojcze i panie! skoro zamknę na zawsze powieki, zabierz moje biedne ciało i zagrzeb je pod kurhanem, w bliskości owego fortu, gdziem się tak szczerze kochać nauczyła.“ W kilka chwil później biedna dziewczyna żyć przestała. Spotted Tail wiernie dopełnił woli swojej córki. I teraz, gdy podróżny przybywa do Laramie, które jest już ludnem miastem — nie zaniedbują mu wskazać pagórek, pod którym spoczywa księżniczka indyjska. Spotted Tail często i z rozrzewnieniem wspomina swoją córkę. Pewnego dnia w Laramie, przy traktowaniu o pokój z Białymi, zawołał niespodzianie: „Jeśliby bezskuteczność oporu i błogie owoce pokoju nie były dostateczne do wstrzymania mnie od wojny, toby mnie wstrzymała prośba konającej córki.“ Prawdziwość faktu o księżniczce indyjskiej, która dobrowolnie zamorzyła się głodem w skutek obojętności ukochanego, nie podlega wątpliwości; obecnie wypadek ten podniosły dzienniki amerykańskie, z powodu zawarcia pokoju z Indjanami; ale przed parą laty opowiadał mi to samo z licznemi szczegółami jeden rodak, który sam należąc do garnizonu w Laramie, znał nieszczęśliwą dziewczynę i owego oficera amerykańskiego. Doprawdy, możnaby z tego ułożyć poemat, powieść lub dramat.“

— Czy dałby temu kto wiarę, że buty mogą czasem ocalić człowieka? A jednak hr. Schlabrendorf zawdzięcza im swoje życie. Oto w dniach terroryzmu wielkiej rewolucji francuskiej, hrabia z wielu innymi siedział w jednem więzieniu, z którego wyprowadzano wprawdzie ale po to tylko, aby skazańcom ucinać głowy na placu Konkordji. Pewnego poranku gdy zajechał wóz po nowe ofiary, wywołano także nazwisko Schlabrendorfa. Hrabia zaczął się ubierać, ale butów w żaden sposób nie mógł znaleźć. Dozorca pomagał mu szukać, ale bezskutecznie. — „Przecież boso nie wyjadę — rzekł nareszcie do dozorcy. — Wiesz pan co? zabierzesz mnie pan jutro, zamiast dziś, wszak to na jedno wyjdzie.“ Dozorca przystał na zwłokę 24 godzin. Jedna głowa mniej lub więcej nie wiele wtedy znaczyła. Nazajutrz hrabia ubrał się przyzwoicie, ale tym razem nie wywołano jego nazwiska. Zapewne musiano o nim zapomnieć, myśląc, że już wczoraj zginął. Dozorca nie napierany, był nadto uczciwym by się z własnej woli dopuszczał denuncjacji, ale mimo to nie wypuścił go z więzienia. Tymczasem Robespierre runął, i Schlabrendorf, któremu buty życie uratowały, został z innymi na wolność wypuszczony.

Odpowiedzi Redakcji.

Gisella M. we Lwowie. Zapewne autorka nie chce być jeszcze znaną z nazwiska, kiedy podpisuje się tylko literą początkową, my zaś nie zwykliśmy zdradzać anonymów.

O. S. w Tarnopolu. Druga część „Wyspy tajemniczej“ bardziej jeszcze zajmująca jak pierwsza, opuściła właśnie prasę w oryginale; w piśmie naszem pojawi się w następnym numerze.

A. S. z w Brzozowie. Po otrzymaniu i przeczytaniu będziemy mogli dać stosowną odpowiedź.

Treść Nr. 35.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).